

OSKAR
W. MIŁOŚZ



WYBÓR
POEZJI

TEOM. BŁONIAŁAWA OSTROŃSKA

NAKŁAD SPÓŁKI WYDAWNICZEJ OSTOJA

POZNAN
1919

OSKAR W. MIŁOŚZ

WYBÓR POEZJI

Z UPOWAŻNIENIEM AUTORA PRZEŁOŻYŁA
BRONISŁAWA OSTROWSKA



Lib. 11



Misiewicz

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ „OSTOJA” W POZNANIU
POZNAŃ

1919



OKŁADKA I RYSUNKI W TEKSCIE
J. J. WRONIECKIEGO
CZCIONKAMI DRUKARNI „PRACY”

32985 31/46r
13



ddając literaturze polskiej ten krótki zbiór poezji Oskara W. Miłosza, nie przyswajam jej bynajmniej obcego dzieła, ale raczej zwracam rzecz, należącą jej z prawa i będącą niejako jej częstką rodzimą.

Oskar W. Miłosz jest bowiem Polakiem nie tylko z urodzenia, ale i z ducha.

Przypadkowe wychowanie we Francji, dało mu w rękę narzędzie języka obcego, którem zawładnął świetnie i nastroił na wszystkie tony swej bogatej skali poetyckiej. Zaczął pisać po francusku i stał się jednym z bardziej cenionych twórców najnowszej literatury francuskiej.

Ale ktokolwiek wczyta się w te strofy, pełne nieokiełzanych wybuchów i szerokich uniesień, odczuje, że przemawia z nich najsilniej uczucie nawskroś nasze, a tak obce duszy romańskiej, że nawet w słowniku wyrazu na nie zabrakło — tęsknota.

Dla Miłosza nieposzlakowana forma jego poezji jest nie ową kształtną amforą, w którą Francuz jak najszczelniej płomyk twórczości swej zamknąć się sili, a raczej klatką, o której pręty bije gorąco skrzydłami, rwących się poza świat formy, utęsknień.

Podłożem całej twórczości Miłosza jest walka. Dla tego też do przekładu pozwoliłam sobie wybrać „Mysterjum don Miguela Manary“, które tę cechę twórczości Miłosza charakteryzuje najdobitniej.

Cała zresztą dotychczasowa poezja liryczna Miłosza okazuje nam tę samą linię przeżyć wewnętrznych, — od pierwszego „Poematu upadków“ przez „Siedem samotni“ do wyzwolenia czystych „Żywiołów“ dążącą. Tą linią starałam się też kiero-

wać w „Wyborze“, zatrzymując się jednak dłużej na utworach późniejszych, których artystyczna dojrzałość, a niekiedy niby zabłąkana nuta naszego historycznego śpiewu, pociągała mnie i zniewalała.

Chciałabym dodać jeszcze, że wydanie w języku polskim poezji Miłosza, uważałam poniekąd za obowiązek z jednego jeszcze względu: Miłosz to jeden z najgorętszych nieprzejednańców „wieku ohydneho ponad wszystkie“, wieku, za którym świeżo zatrzęsnęły się płyty grobowe. Pierwsze wejście swe na poetycką arenę zaznacza Miłosz gestem „décadence latine“, gdy w „śpiewie wina“, po trzykrotnem wysączeniu kielików zapomnienia „na pohybel wiekowi“, wzywa do wysączenia toastu krwi serc czujących w trzykrotnem uderzeniu szpad: „Bo wiem nam wstyd żywota zbyt się rozrósł w duchu“.

W całej poezji Miłosza czujemy tę „Wigilię“, to oczekiwanie, wyczuwanie huraganu krwi, który z otchłani już szedł ku dzisiejszym przeżyciom naszym, — i tego Jutra, który nad oczyszczonym w ogniu światem powstanie nową jutrznią.

Pewna jestem, że te przełomy dobędą z duszy Miłosza nowe, wyzwolone tony, — ale tymczasem do bilansu przeszłości naszej należą strofy tamtej czekającej „Wigilji“.



WYBÓR POEZJI

ŚPIEW WINA.

Wysączmy trzykroć czary na cześć twą, wieczorze, —
Bowiem wszelaki smutek lepszy jest od nudy.
Już noc roztacza skrzydła szeroko na morze,
Na morze barwy rzezi, łun i szarów złudy,

Wysączmy trzykroć czarę na śmierć Bachusową,
I wieków, które ponoć gdzieś żyły, niestety!
Widzieliśmy, jak płynął przez noc księżycową
Stary brzuch boga winnic w zgniłych falach Lety.

Wysączmy trzykroć czarę za serca, otrute
Wiekiem ohydny nad wszystkie! Zrośmy szalem
Życie drogim a nudnym morałem okute,
A które, dzięki winu do cna przepomniałem.

Wysączmy krew serc naszych w szpad trzykrotnym ruchu, —
I niechaj noc na ciała dostojnie nam legnie,
I niechaj się serc wino ze krwią winnic zbiegnie,
Bowiem się wstyd żywota zbyt nam rozrósł w duchu.

KAROMAMA.

*Myśli me są przy tobie, o Karomamà,
Smukłonie, zbyt wątłe dziecię obcych nieb!
(Karomamà, córka Teb,
Co piła odwar zbożny i jadła zbożny chleb,
Jako wierni w wieczory pod Tamaryszkami...
Królowa ma, Karomamà,
Umarła dawno, dawno — przed wiekami).*

*Myśli me są przy tobie, o Karomamà,
Której imię dalekie gra, jak echo skarg,
Półśmiechem i półpłaczem zrywając się z warg.
Boć jest śmiesznem i smutnem — kochać — duszo ma,
Królową, która pośród dziwnych malowideł
Żyła w swoim pałacu, pełnych gryfich skrzydeł,
Przed tysiącami lat... Karomamà...*

*Coś czyniła w poranki twe, Karomamà?
Ku jakiemu bogowi o zwierzęcej głowie
Hieratycznie ściągałaś swe zbyt chude ręce,
Kiedy rzeka łagodnie płonęła w jutrzence?*

*Pani moja, o cichych, umęczonych oczach
I trefionych uczenie bolesnych warkoczach,
Zmarła w latach tak dawnych, że je skrywa mgła...
Biedna, biedna i moja ty, — Karomamà.*

*A w twe dnie co czyniłaś, kapłanko uczona?
Siadywałaś zapewne wśród służebnic grona,*

*Które były posłuszne ci, jako węzowie...
I gniewna, niszcząc perły, śniłaś słodkim snem,
O królewicach z dziwnych, oddalonych ziem,
Ponurych i wschodnimi aromaty wonnych,
Przyjeżdżających zdala na nawach pokłonnych,
Aby rzec kornie: pokłon ci, Karomamà.*

*A w wieczory wiecznego lata, w sykomory
Wonne skryta, jak cichy w księżycu kwiat modry
Śpiewałaś swoje biedne zmarłe — i upiory...
Dalekie echo ci bywało gra,
A dreszcz wstrząsa twojemi dziecięcemi biodry,
I czujesz, jak się wznoszą pod wielkiem westchnieniem
Twe niskie, ciemne piersi, drżące przerażeniem...
Wszak prawda, — było tak, — Karomamà?*

*Aż kiedyś... (czyż nie była snem Karomamà?)
Spowinęli jej ciało w żółte bandelety
I zwarli w słodką trumnę z cedrowego drzewa,
A milczenie wchłonęło jej głos, co mi śpiewa.
Skrybowie powierzyli jej imię na wieki
Papyrusom, — i wszystko jest jak sen daleki
Jak łkanie wód w ciemności: gdzie ty? gdzie ty? gdzie ty?*

*I ty wiesz jedna tylko, o Karomamà,
Że duch mój jest jak rozjęk, który morze czyni,
Zasię samotny taki, jako sfinks w pustyni
I cierpiący chorobę, co się — „nigdy“ zowie.*

*I wiesz to sama, lepiej niż rzec można w słowie,
Ty, wszechtajemnic wiedna,
Że los wypalił w duszy mej śmiertelne znamię
Złudnych łask i istotnej klęski, co mię łamie.*

*Tak, — wiesz to wszystko pewnie, ty, pani daleka,
Mimo wyglądu dziecka, co ostał z przed wieka,
Zaklęty dłonią mistrza w małym twym posągu,
Zcałowanym pieśczętą długich wieków ciągu,
Wieków, które tęskniły do cię, biedna ma...*

*Czuję cię obok siebie dziś i patrzę na cię,
Słyszac, jak szepcesz w mroku: „Nie trza się śmiać, bracie...”
Myśli me są przy tobie, o Karomamà.....*

COLLOQUE.

*Usta nie są krasne, jak zachód, co prószy
W wodę, pełną odbić jesiennego boru.
— Stary sęp, co gniazdo uwił w mojej duszy,
Stary sęp nie lubi świeżej krwi koloru.*

*Patrz! w mych oczach kona bajka lata złota,
Dawnych, drogich pieśni echo w sercu gości...
— Jam ropuchę wstrętu dał na pierś żywota,
Puszczyk śpi we wklęsłym posągu piękności.*

*Daj, niech spłynie słodko nad twem sennem ciałem
Balsamiczna fala moich złotych włosów...
— Pod rudością suchą żrałych traw i kłosów
Nikną drogie groby tych, których kochałem...*

XIV.

*Tylko nie zdradź mię przed jutrem, — kędy żyję!
— Czarnych stawów pełno w borach, — za borami...
Jako echo, co ze studni wodę pije
Głos twój gra mi... księżycowem echem gra mi...*

*Ni imienia mego nie mów, — nawet we śnie!
— Przeszły lata, — przeminęły dawno lata...
Jako drzewko, co choruje w wczesnej wiosnie,
Jest biel twoja, — nieskalana twoja szata...*

*I niech ciernie nas osłonią, — nas osłonią...
Bo mię chwytą lęk powrotu — przed powrotem.
— Białe kwiaty do twych kolan wkrąg się kłonią,
Cienie bledną, rozkochaną śniąc pieszczotę.*

*I tym leśnym wodom nie mów, kędy jestem!...
— Moje imię zmarło dawno; przed wiekami.
Twoje oczy są, jak chmura, co szelestem
Młodych deszczów zadumane wody plami.*

*— Ani nie zaradź się wichrowi z nad cmentarza, —
Boby może zwiął mię z ziemi, — zwiął z pod nieba!
Jak noc letnia, twoich włosów woń rozmarza...
Życ potrzeba! teraz tylko żyć potrzeba!*

W I A T R.

*Jam jest radosny wiatr, daleka, śmiała złuda
O licu złotych pustyń i o płaszczu słońca.
Kiedy mię z mych dalekich władztw wypłoszy nuda,
Tedy uciekam w dal, — a stopa moja trąca
Ciężkiego oceanu pierś, — co śni bez końca.*

*I wnet się starzec budzi i przeciąga w gniewie,
Powstając głuchą kłutwą w groźnym fal oddechu
Na tego, który wiecznie rzuca mu w przewiewie
W oczy, łzawe od soli, — szyd drwiącego śmiechu.
A ja, — jakbym śmiertelny był, — lecę w pośpiechu.*

*Rozkuwam szaty wód i tedy głowę nurzę,
Żarką jeszcze od słońca, w zimnej morza toni
I ujmuję uściskiem moją córkę burzę, —
Potem uciekam. — Długo skarga wód mię goni:
Czy to był sen? — Nie, to był wiatr, — to ja w pogoni.*

*Tu kusi mię daremnie modra grota morza,
Tam zatoka zaprasza na bezchwiejne tonie...
Lecz, poeto, — o, jakże nie kochać przestworza!
Zbiega, co nam wieczyście znika w nieboskłonie
I pieni tęsknot naszych oszalałe konie.*

*Gdzież rzecz, któraby warta wstrzymać lot! Któż powie?
I przetom wicher, co wieje w coraz dalsze dale,
I wicher w twojem sercu i wicher w twej głowie...
Czujesz, jak pędzę w wierszy twych rytmicznym cwale,
Unosząc swoje żądze, i złudy, i żale...*

Obowiązki, miłości, pragnienia, zwyczaje, —
To są więzienni stróże. Za mną leć, — tułaczem,
W samotności szczęśliwej nieskalane raje...
Poprzez morza leć za mną: tam społem obaczym
Nieba tak piękne, że je witać będziesz — płaczem.

I zmarłych, których tuli piana morza biała,
I wyspy miłowania w brzeżnej fali rosach,
Które są jak harmonja młodzieńczego ciała,
I dziewczyny, jak złota kukurudza w kłosach,
I wieże, co śpiewają mistycznie w niebiosach.

Nie zaprzestaniesz nigdy twojej dzikiej pogoni:
Będziesz biegł wiecznie naprzód, choćby drogą błędną.
Życie to kwiat, co ginie od dotknięcia dłoni,
I te tylko są drogie, co zbyt szybko więdną,
Tknięte w zachwycie naszą dłonią nieogłędną.

Tutaj zagaszę niebo, indziej je rozpale, —
A kiedy świat chwilowy traci czar, — w tę porę
Przewiewam. Tedy jawa niknie w mgieł oddali,
A twym olśnionym oczom jawi się nad borem
Tęcza młoda, grająca siedmiu barw kolorem.

Przyjdzie dzień, gdy mi rzeczesz: Dość żyć tem zwodniczem
Życiem, co mrze i wstaje znów; wolałbym raczej
Na czyjś łonie płodnem, szlachetnem, dziewiczem,
Uśpić na długie wieki ten żywot tułaczy,
Pijany winem burzy i męką rozpaczy.

A wtenczas, ja na twarz ci tchnę z cichych odmętów
Czystem słońcem jesieni, a potem zawichrzę
Barkę, w dreszcz purpurowy tonących okrętów...
I świt ujrzy już tylko sny twoje najcichsze,
Ukołysane morzem, błyszczącym na wicherze.

C I S Z A.

We dnie śpisz w grocie cichej, głębokiej, jak w grobie,
Który broni Arachna przed skier słońca zgrają.
Dziwne wspomnienia ciebie we śnie nawiedzają,
Bowiem całego świata przeszłość — nosisz w sobie.

Lecz, kiedy zmierzch rozszerza zgasłe horyzonty,
Widzę, jak się powoli podnosisz z postania,
I jak z palcem na ustach, co mówić zabrania,
Prześlizgasz się przez mroczne twojej groty zakąty.

I na omszałym progu w tej bladej godzinie
Łowisz ostatnie życia odruchy i głosy.
Lecz wszystko śpi na ziemi i widzisz jedynie,
Jak zadumany księżyc błąka się przez rosy.

Ja także czuwam, ale ukryłem się w cieniu
Płaczącej, cichej wierzb i w trawie głębokiej,
I nie wiesz, że cię bada me baczne spojrzenie
I że idzie za twymi tajemnymi kroki.

Opuszczasz twe schronienie. Mimo że jest senny,
Pójdę dzisiaj twą drogą po wilgotnym żlebie:
W głęboki bór, nad źródła o twarzy promiennej
I między groby, — bowiem, ciszo, kocham ciebie.

Znam wprowadzić domy ludzkie pełne słodkich głosów,
Lecz dzisiaj ton najczulszy byłby mi natrętny:
Ku starych borów głębi kojącej i smętnej
Wiedzie mię sen księżycy wśród mglistych niebiosów.

*Nie nienawidzę przeto biednych głosów ludzi :
Rozdzierająca skarga miłości, czy lęków
W nocy mojego serca senne echo budzi
I poi mię harmonją swych dalekich jęków.*

*Nie, słodka ciszo! Nie mam żadnej nienawiści
Do głosów, co samotni mej gorzkiej nie ranią ;
To, co doczesnem we mnie jest i tu się iści
Tęskni czasem za ludźmi, jak łatwą przystanią.*

*Znałem wielkich i znałem mądrych. I tych znałem,
Co mię czci nauczyli dla Miłości boskiej, —
Lecz boję się wyrazu tej uległej troski,
Co wszystkie lica kala swem tchnieniem zuchwałem.*

*Po cóż ta troska, duszo, i to upodlenie !
Człowiek pokornej ziemi jest dan za mocarza,
Jest wolny i sam siebie bezustannie stwarza!
Niech strząśnie jarzmo męki, co go w niemoc żenie.*

*A ty, ciszo przyjazna, co w całej naturze:
Rozlewasz dzisiaj złoty balsam ukojenia,
Zaśnij w sercu, zmęczonem wiekami cierpienia,
Jako młody królewicz w głębokiej purpurze.*

*Położ chłodną dłoń twoją na rozdartem łonie,
Krwawięcem od pocisków litości zwodniczej ...
Zadumane twe światło niech skroń mi owionie :
Księżycu blask miłosny, słodki, tajemniczy.*

*Łagodnie go ukołysz do snu. Zasię potem
Wróć tutaj, na wierzchoły gór, dymiących w niebie :
Tu spleciem dłonie nasze radosnym splotem
I z melancholją wzajem zpatrzym się w siebie. —*

SŁOŃCE.

*Nie przychodzę cię wielbić z człowieczą pokorą,
Dawco wszelakiej siły, synu miłowania !
Lecz, jak dąb, w którym soków nadmiar się przegania,
Do ciebie prąc od rdzenia pod spękaną korą,*

*Tak ja do twego tronu podnoszę ramiona,
Trzęsąc myśli świetlane i szumne listowie.
Bowiem miłość ma nie da wyrazić się w słowie,
Lecz jest, jak dzikich lasów energja szalona.*

*Na wysokich wierzchołach po zorze ostatnie
Będę cię śledził zbożnie w twych skier zawierusze,
I pozwolę ci zlewać twoje łaski bratnie
Na me zwierzęce ciało i roślinną duszę.*

*Wygonię z serca wszystkie dawne troski mroczne,
Co czyhają na ducha pogodną harmonję,
I pod twemi niebiosy spokojnym być pocznę,
Jak one, których kocham boską monotonję.*

*Żarkim płaszczem miłości pokryjesz me ciało,
A żar twój i krew moja w splot jeden ognisty
Stopią się, tworząc akord tej pieśni wieczystej,
Co się rozlewa wieków harmonją wspaniałą.*

*A gdy się życie moje otworzy tym blaskom,
Wygnaś zeń próżnej pychy i żądzę liczmany, —
I spocznę pod światłości twej najświętszą łaską.
Jak spoczywają zboża dojrzałego łany.*



*Zbyt długom był przed tobą nakształt ludzi ślepych,
Których chorej źrenicy blask żaden nie zleczy:
Bo tym jawi się jeno prawdy życia przepych,
Którzy wzrokiem miłości upiększą wszechrzeczy.*

*Niewyraźalne serce miłości wszechświata,
Które przepelniasz światłem oczy ziem tysiąca,
Będę cię sławił pieśnią, co ku tobie wzlata,
Głosem wód, polem i lasów szeroko szumiąca.*

*A wszystko cobądź złego moje serce chowa,
Zwyrodniałe pragnienia, dzikich szarów zgraje, —
Wszystkie te widma znikną, jak ta mgła niezdrowa,
Co w wilgotne wieczory z łona bagien wstaje.*

*Mój sen gonić cię będzie krok w krok poprzez morza,
Aż na tęczowe wyspy do cudnych ogrodów,
Z których nie schodzi nigdy młodej wiosny zorza:
W raje owoców słodkich i prostych narodów.*

*Aż, kiedy noc dziewicza ukryje cię w niebie,
To księżyc, który spłynie na mroczne błękity,
Będzie wraz z mą miłością, tęskniącą do ciebie,
Wspomnieniem twej piękności, zazdrośnie ukrytej.*

POWRÓT.

*Ty, której święta miłość z skał twardego toża,
Gdzie spało moje serce pod troskami swemi,
Zdołałaś wysiać cudem, jako z płodnej ziemi
Łagodny uśmiech kwiatnych ziół i łaskę zboża.*

*Ty, co, dając głos ludzki cichym dźwiękom fletni,
Natchnęłaś mię miłością kłamnego narodu,
A w nienawiść spiekłego posuchą ogrodu
Zwolitaś upaść serca twego rosie letniej...*

*Oto krzykiem, nabrzmiałym goryczą wdzięczności,
Krzykiem, jakim dzień żegna ptactwo u odlotu,
Po latach zapomnienia mąk i samotności
Witam łaskę najświętszą twojego powrotu.*

*Ty, co niegdyś w mym domu mrocznym, pełnym cienia,
Na mrące opuszczeniu me serce dziecięce
Położyłaś dziewicze, blade twoje ręce,
A w płacz mój tchnęłaś tajemę twojego imienia!*

*Ty, któraś z chybkim biegiem moich lat umiała,
Pod imieniem, wielbionem nad wszystkie na świecie
Być, jako matki dobrej święta zjawa biała
I jak družka, o sercu słodkiem, jak noc w lecie.*

*O mem dzieciństwie marzę, mówiąc imię twoje.
Wszyscy przekleli lazur, co był mi rodzicem, —
Ty zabrałaś pod cienia własnego spokoje
Niemego jeszcze serca mojego tęsknice.*

*Smak dzikiego owocu miały moje żądze,
A ludzi przestraszały me łzy i tęsknota, —
Więc poszedłem za tobą, a choć nieraz zbłądzę
Ku otchłaniom miast wielkich, co są z krwi i błota,*

*Ilekoć mię przyciągną bagniste odmęty
Zwodnie łatwej piękności, doczesnego plonu, —
Ty się pojawiaasz zawsze, pełna grozy świętej,
I ukazujesz drogę nowego Syonu.*

*O, ten gród miłowania! grót cnoty powinnej,
Którego nigdy ręka niewiernych nie psowa!
Jeruzalem piękności, Jeruzalem nowa, —
Spichlerz cedrowy, zbożom dojrzałym gościnny.*

*Tam też męgliwy strumień przenigdy nie kala
Gościńców, które ludzka wyściela pokora,
A serce, od swej męki i żywota zdala,
Nie lęka się już wspomnień straszego upiora.*

*O, pozwól mi się wpatrzeć w twoje święte oblicze,
Piękne, choć często gięło się w łzach nad grobami.
Ból nieznaczną ci rysą jego ciszę plami,
Jak czarny łabędź plami wody tajemnicze.*

*Dusza twoja, to ciche ustronie faliste
Kędy drzemią pod słońca radosną poświatą
Obciążone owocem winnice cieniste
I spokojne ogrody, w których brzęczy lato.*

*Nienawiści się żarów pozbyła szczęśliwa
U cichych źródeł nocy, jak u źródeł dziennych, —
I oto jest nazawsze w tych sferach promiennych,
Kędy miłość już miłość jedynie przyzywa. —*

N O C.

*Oto dzień już rozproszył lichą maskaradę,
Jak mrącego listowia kolory zwodnicze.
Nad ziemią gwiezdą cisza pochyła swe blade,
Zalane łzami oblicze.*

*Jak owa noc bezdenna, schodząca na ziemię,
Czuwa znużenie moje i próżno lot zrywa.
Czuwa znużenie moje i świata wszechbrzemie
Na jego piersi spoczywa.*

*Słyszę krok Melancholji tajemny i chłodny:
Siostry o smutnych oczach i twarzy miłosnej.
Przychodzi, by oskarżyć mój żywot bezpłodny,
Że zabił dzień swojej wiosny.*

*Pieśniarzu! gdzieś pieśń twoja, poczęta przed jutrznią?
Synu Śmiałych! przed życiem się skryłeś w mogiłę?
Coś uczynił z twych ojców odwagą buńczuczną?
Gorze! Cóż uczyniłem?!*

*Męczyłem serce moje, nie spełniwszy doli,
Zdrajca i kat, umieram wyzbytymi ślubami.
Samobójstwo to chyba, — heroizm niewoli, —
Zbawiło mię od zguby.*

*Ostry stylus spoczywa obok karabeli...
Gdzie poemat, pieśniarzu, gdzie czynów twych męstwo?
Gdzie cel twej duszy, którą wśród świata topieli
Niezmienne ściga przekleństwo.*

Będzie Ci kłamać znowu żądze tronu próżne,
By utopić swą nudę w szumnem winie pychy, —
Ta, co błogosławiłaby, jako jałmużnę,
Spoczywa w trumnie lichej?

Wiedziałem o jej głębiach i zejść w nie pragnąłem,
Lecz wyniosłem z otchłani goryczy wspomnienie:
Bo znalazłem w tem piekle, zduszone popiołem,
Same umarte płomienie.

A żałoba chwil ciężkich posępnym łańcuchem
Wlokła na dnie wyrzutów swych ciąg nieskończony,
Jak w tułactwie wieczności pod mroku obuchem,
Upiornych widm legjony.

We świetliste etery, słońcami pożarne,
Próżno, okrutna złudo, nawracasz me loty:
To lśniące okno. Na niem me pszczoły cmentarne
Strzaskały wyrój swój ztoty.

Rojom pragnienia rzekę: to sidło i zdrada
Nie należy dowierzać sieci słońca wiotkiej:
Na ul mojego serca śnieg pada i pada,
I sen nad wszystko jest słodki.

Niechaj będę, jak woda, co śpi pod lodami,
Bowiem z głębi mej duszy najlżejszy ruch sączy
Jad nadziei, co mąci powierzchnię i plami,
I ze krwią moją się łączy. . . .

Idę w przyszłość, co groźne szykuje mi zdrady . . .
Zaś wszelka droga rani tułacza krok chory . . .
Przystaję i wnet słyszę, jak wyją mi w ślady
Wyrzutów zajadłe sfory.

A jeżeli z przepaści klęsk moich bez końca
Ośmielę się na niebo wzrok podnieść w pochodzie,
To, — jak ten wilk, co wyje do pełni miesiąca,
Aby zapomnieć o głodzie.

Miłość? O biada! Studnia mlelanchoji chłodna
Nie ugasza pragnienia, które miłość tworzy.
Poilem się od świtu i wypilem do dna,
Nim zachód spłonił się w zorzy.

Ta garść uwiędłych kwiatów, którą dłoń ma strąca
We wspólny dół pamiątek, zbyt gorzko mię pali,
Choć mi jest bardziej obcą niż srebro miesiąca
Na cichem srebrze fali.

O, stosie drzewek suchych, ogniu jednej chwili!
Serce, zapomnień żadne pod lodów mogiłą!
Czy to los twój? Czas mija i dzień już się chyli, —
A nic się nie dopełniło.

Najgłębsze miłowanie, najmędrsze zamysły,
Kazały bić ci, serce, bardziej niecierpliwie,
Niżli skrzydłom mew błędnych, co w locie zawisły
Na wichrów przeciwnych grzywie.

O, dolo ma! straszniejszej nie znałem, zaiste
Krótka radość i bóle w przelotnej rozterce:
Na jeden cichy uśmiech i na dwie łzy czyste
Wydałem całe me serce.

A oto dziś, po tylu, tylu dniach, znow gra mi
Dalekie ciche echo w tej sennej godzinie:
Echo, które nie dało zatłumić się łzami,
Ani zatopić we winie . . .

*Pieśń dziecinna, piastunki pieśń bez końca,
Od której myśl i serce płaczą pokryjomu.
Próżny dźwięk, który spokój cichego snu zmacza
Gdzieś w starym i smutnym domu.*

*Duszo ma! To pieśń czarów, co zgon tobie wróży ...
Szelest kroków w nadwodnych wiklinach i prątkach ...
Ktoś, co prawić ci idzie najciszej, najdłużej,
O zapomnianych pamiątkach.*

*Co idzie ci wyrzucać smęt i oddalenie
Tych, co otwarli niegdyś biedne serca czyste
— A oto już nad światem łkające milczenie
Chyli oblicze gwiaździste.*

*Dzień rozgonił swych skoczków snu cichą godziną, —
Lecz sen jest krótki, jako myśl kochanków płocha.
Grób, o, miłości moja, jest rzeczą jedyną,
Którą na długo się kocha.*



MIGUEL MANARA

MISTERJUM W 6 OBRAZACH

OSOBY MISTERJUM:

Don Miguel Manara Vicentelo de Leca, don Juan historyczny,
przez romantyków don Juanem Maraną przewany.

Don Fernand

Don Jaime

Don Alphonse

Przeor klasztoru Miłosierdzia w Sewilli

Dwaj zakonnicy tegoż klasztoru

Johannes Melendez, żebrak paralityk

Girolama Carillo de Mendoza

Cień

Duchy ziemi

Duch nieba

Głosy tłumów

Rzecz dzieje się w Sewilli roku Pańskiego 1656.

I.

(Zamek don Jaime'a pod Sewillą. Uczta w jarząco oświetlonej sali. Większość gości jest już pod władzą wina. Don Jaime, starzec krótki, gruby, o zwierzęcej twarzy, stojąc na krześle łaje pacholków i służbę).

Don Jaime:

Rany Boskie! Toż nam każą umierać z pragnienia,
Don Miguelu Vicentelo de Leca, Kawalerze z Calatrawy, mój gościu!
Strzeż mię Bóg, bym was zmuszał, postne chudogęby,
Do żarcia czarnych mięs i żółtych tłuszczów,
Albo topienia się w winie.
Wszakżeśmy, — jeśli pan mój Bachus mię nie zwodzi, —
w najświętszej porze roku, — właśnie między środą
popielcową, a wielkanocą
kwietną. Tedyż więc szelmy, do wszystkich szatanów,
suszcie, póki post katolicki
skór wam nie podziurawi długimi zębami
waszych własnych spróchniałych kości, sobacze syny!
Lecz na Mamona! chcę, aby nam służono,
jak w zwykłej porze uczt i traktamentów!
a jak nie, — to was wszystkich pošlę na pokutę
do przedpokoju jego świętobliwości
arcybiskupiej i arcyskapej! Hola! wina! wina!
Bo zacznę kląć, do kroćset! aż wszyscy pójdziecie do piekła!

(przynoszą wino)

A jeśli święta Inkwizycja zastuka mi do bram, —
to szpada w dłoń, łajdaki! to szpady w dłonie — i
lont do moździerzy!
Do kroćset! bo...

Don Miguel:

Wściekły krzykacz, siadaj! Rzuć te samochwalstwa!
Któż bo w Sewilli nie zna szaleństw twego języka?
Ma się to za wroga Chrystusa a, — na honor! —
nie śmiałyby we Wielki piątek zgwałcić dziewczki,
spotkanej w ciemnej dróżce z czeladnej do lochu.

Don Jaime:

Ach, pójdz w moje objęcia, łotrze! niechże ciebie
pocałuję głośno w same usta! Tyś jest naszym panem i mistrzem.
Słusznie gada zaprawdę! Czemże bo my jesteśmy
łajdaczyny — wobec ciebie, — co mówię, — wobec twego cienia!
Ty! ty dopiero jesteś rzetelnym, co się zowie, — łotrem.
Jaki on piękny w tę noc! Eleonoro! Blanco! Lorenzo!
i ty Inesilo! i ty tam Cinthio! i wy wszystkie!
patrzcież na niego! Żaliście kiedy, suki,
widziały skroń wynioślejszą, piękniejsze usta, płomienniejszy wzrok?
A ta blonda wenecka! ten żabot, — ten król żabotów do kroćset!
I ta szpada! i ten dobór szat!
Wyznajże mi mój synu: ileż ty masz na sumieniu — księżniczek?

Kilka głosów:

To, to! Otóż to właśnie! Ile księżniczek rodowych?
Ile księżniczek na tronach książęcych?

Don Miguel:

Sześć.

Don Jaime:

A znamienitych markiz?

Don Miguel:

Siedem, ośm, czy dziewięć, jeśli pan mój Eros mię nie zwodzi.

Don Jaime:

A dziew szlachetnych i jejmościanek mieszczańskich?

Don Miguel:

Coś między kopą a setką, jeśli pamiętam dokładnie,
pamięci bowiem brak mi do rachuby.

Don Jaime:

A — nierządnicze?

Don Miguel:

Znałem jedną, co mię miłowała prawdziwie i umarła
Z rozpaczny nieklamanej.

(krótka cisza)

A umarła, panowie, właśnie w tymże czasie,
co siostra Magdalena, mniszka, memi zabiegi wydarta Jezusowi.

Wszyscy:

Cześć i chwała Manarze we wszech głębokościach piekła!

(Tumult śmiechy, krzyk, brzęki kryształów i srebra).

Don Miguel:

Widzę z radością, panowie, że wszyscy mi dobrze życzycie,
i wzruszon jestem do cna życzeniem tak wielkodusznem —
ognia dla mego ciała i ducha, ognia nowego, co płonie
kędys, daleko stąd... Lecz klnę się na honor i głowę
biskupa Rzymu, że wasze piekło nie istnieje, że nie gorzało nigdy
indziej, jak w głowie szaleńca Messjasza albo świętokradczego mnicha.
Lecz za to wiem, że istnieją w wolnych przestworach bez Boga
światy jasne radością gorętszą od naszej,
ziemie nieznane, a piękne i dalekie, dalekie od tej,
na której my żyjemy. Wybierzcież tedy waszmoście,
jedną z tych cudnych, oddalonych planet
i poślijcie mię tam w tęże noc przez zawistną furtę mogiły, —
bowiem czas mi się dłuży. Bowiem czas djablo mi się dłuży, panowie
i znużon jestem nadmiar, tem oto życiem sobaczem,
które wiodę. Nie znaleźć Boga to drobiazg zaiste,
ale stracić szatana to wielki ból i nuda, na honor, — bezmierna!
Wlokłem miłość w rozkoszy, i w błocie, i w śmierci.
Byłem zdrajcą, bluźniercą, katem. Dopełniłem
wszystko, co spełnić może nędzny stwór, zwany człowiekiem. —
I oto — utraciłem szatana, panowie! Szatan mój mię opuścił
i spożywam chleb gorzki w pustelni starczej nudy.
Służyłem Wenerze z szaleństwem, później ze złością i wstrętem, —
dziś zaprawdę kark bym jej skręcił, ziewając.
Zasie nie próżność przez moje wargi przemawia:
nie chcę uchodzić za nieczulego kata,
cierpiałem. Wiele cierpiałem.

Troska wejrzała na mnie, zazdrość szepnęła do ucha,
litość mię wzięła za gardło.
A nawet, — może to były właśnie najmniej kłamliwe rozkosze.
I cóż? Spowiedź moja was dziwi? Słyszę śmiechy. Wiedzieć tedy,
panowie,
że nie popełnił zbrodni ten, który nad swą ofiarą nie płakał.
Zapewne, że w młodości szukałem, jako wy,
Nędznej radości, — przybysza z obcych ziem,
Co, życie nam swe dając, nie mówi, kim jest.
Jednak dość wcześnie porwała mię żądza
tego, czego wy nigdy nawet nie zaznacie: Miłości, — ciemnej, bez-
miernej i słodkiej.
Ileżkroć śniłem, że ją chwytam, lecz to było li widmo płomienia...
Chwytałem je, przysięgałem mu wieczność wierności,
ono paliło mi usta i spopielalo mózg, —
a gdym otwierał oczy ohydny dzień samotności już czekał,
dzień samotności tak długi, z biednem sercem, trzymanem rękoma,
sercem tak lekkim, jako przelotna jaskółka.
A wieczorem — rozpusta niskoczoła i nikczemnooka siadała na mo-
jem łóżu
i patrzyła na mnie w milczeniu, tak, jako się patrzy na trupa.
Nowej piękności! nowego bólu! nowego dobra!
którem się nużym prędko, by prędko zaznać smaku nowego zła.
Nowego życia! nieskończoności nowych żywotów!
Oto czego mi trzeba, panowie! tego właśnie i więcej niczego!
O jak zasypać tę otchłń życia? o, co czynić?
Bowiem tęsknota jest wszędy i wciąż potężniejsza, szaleńsza,
jak pożar oceanu, od którego wszechnicość goreje, —
tęsknota ogarnięcia wszystkich możliwości!
Ach, panowie! co czynim tu? co zyskujemy?
Biada! życie tak krótkie jest, jeżeli chodzi o wiedzę,
a jeżeli chodzi o walkę,
to świat nie spłodziłby dosyć żywotów, aby nasycić głód takiego,
jakim ja byłbym zaborcy
a jeżeli o dobre uczynki, —
to wszak wiecie, jak nędznem, jak plugawem robactwem nocy
są ludzie... i wszak wiecie również zapewne,
jaką lichą marnością jest król, kiedy się Bóg oddali od ducha.

Don Alphonse

Dzielnie każe, zaprawdę, bardzo dzielnie
nasz przeuczony doktor
Belzebuba. Co za gest! Co za głos! Co za ogień! Lecz nie wy-
ciąga z oracji morału.
I jak ten wszystkoburca ogniem maluje raje i nieba nowe!
Radbym przejrzeć zamysły jego! Na wszystkich rogatych szatanów!
Czego on czeka od nas i od samego siebie?
Co uczynim? i co ty uczynisz, mój synu?

Don Miguel:

Wy? — Wy będziecie, jak sędzę, drwić z Boga, całkiem jak przódy,
a Manara będzie drwił z was, całkiem jako przódy, panowie.

Don Fernand: (cicho, pochylony ku don Miguelowi)

Jeśli mię widzisz tu mimo mych siwych włosów, Miguelu,
to przeto, że oddawna oko miałem na ciebie.
Byłem druham rodzica twego Tomasza de Leca
i znałem macierz twoją, szlachetną Girolamę Anfriano.
Twa macierz była świętą, twój rodzic rycerzem bez skazy,
wiernym wobec swego Boga i króla. Umarł w moich ramionach...
Wejrzyj na mnie Miguelu!
Widzisz, — nie spuszczałem oczu, ani mi oblicze nie blednie,
iż mam rzec tobie, co ci teraz rzekę:
jesteś podłym tchórzem i zdrajcą.

Don Miguel:

Ażaliście pijany, żali szalony, don Fernandezie?
żali wam się żywot uprzykrzył?

Don Fernand:

Wiesz, że przeżyłem wiek mój w walkach wielce świętych,
i że się z moją szpadą nigdy nie rozstanę
nawet i w śmierci. Zabito podemną
cztery konie; zaś z królem rozmawiam w twarz twarzą,
nie odkrywając głowy. Mógłbym cię za uszy wytargać,
ale dość mi, że ci powtórzę raz jeszcze:
Jesteś podłym tchórzem i zdrajcą.
Ktokolwiek uwiedzie i zdradzi białogłowę
jest podłym tchórzem i zdrajcą.

A kto odbiera żonę bliźniemu swemu jest niecnym nędznikiem.
 A ktokolwiek zagrabi najłichszej chłopce czy mieszcze
 święty skarb jej dziewictwa i zostawi hańbie i łzom,
 ktokolwiek to uczyni, jest psem nędznym i zczeznać powinien jak pies.
 Ty nie jesteś szlachcicem, Miguelu, — ty jesteś nędznym psem.
 Twój herb jest godłem, któreby przybić można
 na wrotach domów rozpusty. Żali to moja wina,
 że wonie twoich perfum i szminek są dla mnie wonią psa?
 Mów, don Miguelu, kawalerze z Calatrawy, — żali to moja wina?
 Gdyby twój rodzic żył, plunąłbym ci w twarz, don Miguelu, —
 ale cóż — oto
 rodzic twój zmarł i nie masz go, aby bronił
 honoru swojej krwi. I także nie masz twej matki,
 aby otarła twarz swego dziecięcia i utuliła w ramionach.
 Gorze! Więc to, więc to, dziś się nazywa rycerstwo!
 Ależ żyd lichy w smrodzie swego ghetta
 lichy żyd, wierny żonie swej i ojciec czuły
 stokroć jest bardziej szlachcicem, niż ty.
 Za kogożeśmy walczyli, o Moce niebieskie!
 za kogoż przelewaliśmy krew,
 Panie!
 Za kogoż żywot poświęcił nasz król,
 co nie miłował nawet według woli serca, a zwiądl w sobie
 przed czasem, w pyle pergaminów?!
 Gorze!

(Kryje twarz w dłoniach. Długa cisza).

Posłuchaj mię, Miguelu. Jesteś młody. Masz trzydzieści lat
 i bogaty jesteś mądrością złą, ale potężną.
 Trzydzieści lat. Nie wiem, czy śmiać się, czy płakać...
 Trzydzieści lat... To jako zapach zbóż. To jako uśmiech
 nocy w oknie, gdzie ma się pojawić twarz kochana
 łagodnie oświecona bladym sercem róży.
 Don Miguelu! mój synu! dziecko! ja byłem szaleńcem!
 mówiłem ci, jak stary głupiec, niesprawiedliwie. —
 I jam kochał dziewczęta, kiedy byłem młody.
 Nie uwodziłem ich, nie drwiłem z nich, nie opuszczałem,
 ale kochałem, wabiłem, — byłem młody, Miguelu.
 Przebac! Przebac staremu żołnierzowi! Nie jestem dworakiem.

Nie znam się na uczonych słowach. Basta!
 Miało się twarde życie. Nie miej do mnie żalu
 Winienesz mi przebaczyć. Jesteś piękny. Masz dumne oczy i wy-
 niosłą skroń,

podaj mi rękę. Nie dąsaj się dłużej
 podaj mi rękę.

(Krótkie milczenie. Bada rękę don Miguela).

To jest szlachetna ręka. Palce ma wysmukłe,
 a żyły modre, tym rzadko już dziś spotykanym, błękitem.
 I jesteś podobny do ojca.

(Długie milczenie).

Posłuchaj mię, Miguelu. W naszej dobrej, starej Sewilli
 jest jeden skromny dom; bardzo stary dom przy kościele
 Miłosierdzia. Ten dom ma pana równie starego,
 który znał Twego ojca. Moim jest druhem od dziecka.
 Carillo de Mendoza się zwie. Jest chorym, samotnym i wdowcem
 od czterech czy pięciu lat.

(Krótkie milczenie.)

Ten Carillo de Mendoza, moje dziecko,
 ma, na pociechę swojej długiej męki,
 jedyną córkę. Imię tej dziewczeczki jest Girolama.
 To imię twojej matki, Miguelu.
 Imię tedyż dziewczeczki tej jest Girolama
 Carillo de Mendoza. To szlachetne dziewczę,
 Dziewczę wielce spokojne, i mądre, i piękne,
 i zaledwie, że dziś przestaje być dzieckiem.
 Masz lat trzydzieści, Miguelu! Niestety! gdybym miał lat trzydzieści!
 Lecz tyś syn mego druha, więc twe lat trzydzieści ci daruję. —
 Czy nie chodzisz, łajdaku, nigdy do kościoła?
 Pójdiesz na mszę w przyszlą niedzielę, Miguelu!
 Tam się spotkamy społem. Przyjdź! przyjdź, moje dziecko!
 To kościół — Miłosierdzia.

(Don Fernand wychodzi. Większość gości opuściła już salę uczt. Niektórzy śpią po sie-
 dziskach i stołach. Pochodnie konają. Czuć zbliżanie się jutrzni.)

(Z poza kotary jawi się don Miguelowi — Cień).

Cień:

Szczęśliwy ten, którego serce jest jako głaz grobowy pod śniegiem,
zasię nadzieja, jako imię ojca, wryte na głazie grobowym.

Szczęśliwy człowiek, skłęty przez swą macierz ślepą:

podnosi oto kostur w księżycu,

a ciszy się serce

rozdiera.

Szczęśliwy, czyje łzy płyną deszczem na opuszczone mogiły,

a skóra jest szelestem węża

pośród ziół.

Szczęśliwy, czyje dziecię rodzi się z wrogiej rozpusty:

Dziecię podąża za nim, kryjąc się za drzewa,

a zimny księżyc patrzy.

Lecz biada, biada temu, co jest świadom,

i co przełoży, ślepy na piękność Boga,

pustkowie nudy — mękom namiętności,

a męki namiętności — pustkowiui nudy.

Don Miguel:

Duchu — kto jesteś?

Cień:

Jam cień twego minionego żywota.

II.

(Ogród w Sewilli przed domem Carillo de Mendoza.)

Girolama Carillo.

Nie miałam jeszcze dwunastu lat, Miguelu,
gdy umarła.

Na święty Jan minie już czwarte lato.

To tak pięknie umierać z czystym sercem i umysłem jasnym,
tak pięknie, że wyrzucam sobie nieraz moje łzy.

Ale byłam słabem dzieckiem, Miguelu, i zapewne łzy moje sieroce
nie obraziły Boga. Dwanaście lat to tak mało, —

i znam nawet dziewczęta w tym wieku, co są zupełnie dziećmi.

Od tego czasu wiele, wiele myślałam. Mój ojciec był już chory.

znacie od niedawna Klemensa Carillo,

lecz możecie spostrzegli, że jest nieco — trudny
i gwałtowny, — z powodu swej długiej choroby.
To straszna rzecz być tak na bezruch skazanym,
a zwłaszcza dla szlachcica, nawykłego do życia w obozach.

Don Miguel:

Ale jak się to dzieje, Girolamo, że nie spotykam nigdy
młodych rówieśnic twoich w ciszy tego domu?

O, jak twe życie zda mi się być smutnem, Girolamo!

Girolama:

Nie mam towarzyszek rówieśnych, don Miguelu,

I, prawdę rzekłszy, łąco się obchodzę

bez towarzystwa dziewcząt mi rówieśnych.

Widzicie, don Miguelu, — ja nie lubię

ani ich śmiechu, ani ich płaczu, — a także

one, widzicie, mówią niekiedy między sobą

o mężczyznach tak, jak właśnie ja nie lubię,

by mówiono o mężczyznach i o ich miłości.

Tak. Prowadzimy życie wielce samotne, Miguelu.

Zimą wychodzę z domu jedynie do kościoła,

ale latem, — to na wsi spędzamy niedziele.

Godzinę od Sewilli. Mamy tam dom z ogrodem,

z dużym, dużym ogrodem. Ja bardzo lubię kwiaty.

Bardzo!

Don Miguel:

Lubicie kwiaty, Girolamo, — zaprawdę?

a nie widzę ich nigdy na waszych włosach, ni szatach?

Girolama:

To przeto, iż nie lubię, gdy dziewczęta czynią

z kwiecica strój, jak z jedwabów koronek czy piór.

Nigdy nie kładę sobie kwiatów we włosy. Nigdy!

(Bogu dzięki są i bez tego dość piękne.)

Kwiaty są żywe przecie — i trzeba im życie darować,

by dychały do słońca i gwiazd. Nie zrywam nigdy kwiatów.

Wszak można jeszcze kochać na naszej biednej ziemi,

nie pragnąc zaraz zabić swej pięknej miłości,

lub uwięzić w kryształ, lub, jak to czynią z ptakiem,
w klatce, gdzie woda nie ma już smaku wody,
a siemię letnie nie ma smaku siemienia.

Don Miguel:

Żaliż wszystko jest rosą i balsamem w was Girolamo?
Żali nie ma zakątów cienia w waszem sercu?
Żali nigdy nie chwyta was gniew?

Girolama:

Ależ tak! Ależ tak!

I nawet na te kwiaty, które tak przecie miłuję!

a to dla nazw ich łacińskich takich trudnych.

Ileż zawdzięczam im bur od naszego kapelana,

który, prócz geometrii swej, równo studjuje

wiedzę botaniki, ku wielkiej mojej żalości!

Rzekliście mi przed chwilą, że nasze życie jest smutne.

Nie podzielam bynajmniej waszego zdania, Miguela.

Jest dom, ogród, nauka dzienna i są biedni. Jest wielu, wielu biednych ludzi w Sewilli!

Nie mam czasu na nudy. A przytem są i księgi:

bowiem jestem lektorką ojca mego. Wiele czytamy.

Znam prawie wszystkich poetów naszych. A ostatnio

czytaliśmy dzieje sławnego kawalera z La Manczy.

Mój ojciec z kapelanem się śmieli, a mnie się chciało płakać.

Jaka to piękna rzecz księgi, co każą śmiać się i płakać zarazem!

Lecz pewnie nadużyłam już cierpliwości waszej, Miguela?

Mniemać musicie, że jestem roztrzępana i zbyt mowna,

Nie wymawiajcie mi tej ciszy umysłu i serca:

nie zaniedbałam żadnego z moich obowiązków.

Don Miguel:

Nie, bo to ja, jam prosił was, Girolamo,

byście mi rzekli dzieje waszego drogiego żywota. O, życie słodkie, —
smutny, piękny kwiecie!

Nie cofajcie swej dłoni! Niech mi ostanie na sercu!

O, gdyby biciem serca można wam było wyznać

Wszystko, czego głosowi wyznać się nie ważyć!

Tyle! tyle! pragnąłem wam rzec, Girolamo!

tak wielce się zmieniłem od dnia naszego spotkania
w kościele Miłosierdzia. Pomnijcież ten dzień, Girolamo?
przed Wielkanocą kwietną i przed mym wyjazdem z Sewilli?
W ten sam dzień to don Fernand, przyjaciel ojca waszego,
pchnął mię ramieniem w ten dom, który mię straszył zdala.
Bowiem znacie mój żywot. Bowiem znacie z mego żywota
tyle, ile dziewczynie młodej odkryć było można.

A to jest wiele, niestety!

A to jest zbyt wiele, Girolamo!

Girolama:

Mówiłam z don Fernandem. Zapewne nie powinnam
wyznać wam tego: — mówiłam o was z don Fernandem.

Ja już nie jestem dzieckiem i wiem, że nie masz nic ponad szlachetną
szczerłość. I don Fernand mówił o was ze mną.

Wszak znacie don Fernanda. Wiecie, że nasz stary przyjaciel jest
nieco

przekorny, ale dobry. Śmiał się ze mnie (znał mię jeszcze dzieckiem)
potem nagle zmienił mu się głos i oblicze
i zaczął mówić mi o was.

Don Miguel:

Gorze mi, Girolamo! O, czemuż nie ma leku na smutek serca?

Co stało się — nie odstanie, — bowiem to jest życie.

Co dopełnim, — to jest wypełnione.

Girolama:

Nie podzielam bynajmniej waszego zdania, Miguela,
i nie wiem, co jest tak strasznego w tem wszystkim?

Wiem, że jesteście wielkie nic dobrego,

i że przez was płakało wiele, wiele pięknych.

i zdacie się zadziwiać mojej dziecinnej radości?

Lecz te kobiety wiedziały, że czyniły źle,

kochając was, a nawet przyrzekając kochać.

Bowiem z nich żadna nie otrzymała od was przysięgi,

świętej przysięgi na wieczność, don Miguela!

Bowiem z nich żadna nie otrzymała od was

obrączki, która duszę na wieki z duszą sprzęga, don Miguela!

Ach, wiedziały one dobrze, co czyniły — wszystkie, tak, tak, wszystkie!

Don Miguel:

Cicho! twe słowa straszą mię, Girolamo!
To jakby promień letni przedostał się nagle
w zakąt, chroniony skrzydłami nocy, i pełen
czołgów ponurych śnień, wylęgłych z głębi mroków.
Widziałem niegdyś siostrę miłosierdzia,
samotnie przechodzącą przez cele męczarni.
Tak idzie głos wasz, — straszny niewinnością, —
tak idzie głos wasz w moje złe, zziębłe serce.

Girolamo:

To przeto, że mię pewnie macie za pustogłowa!
to przeto, że mię niedość znacie, don Miguelu!
I przeto także, że jestem mała i słaba.
Jestem pewna, że musicie się litować nademną,
i boicie się złamać mi skrzydła, jak ptakowi...
Lecz pozwalam wam mówić swobodnie, Miguelu.
Ja się nie boję was. Coś mówi mi w sercu,
że jestem waszą siostrą. Nie boję się waszego spojrzenia.
Wiem, że patrzycie na mnie niekiedy przelotem,
jak patrzy się na małe zwierzątko, które chce się schwytać.
I zawsze, kiedy myślę o tem, to się śmieję!
Mówicie, że kobieta jest słabą? Wszyscy mężczyźni to mówią,
wszak prawda?

bo mówi to mój ojciec i don Fernand i księgi mówią to także.
I kobieta jest słabą w istocie, — lecz jako ptak powietrzny
i jako myszka polna, — nie chwyci jej, kto chce,
i one wiedzą dobrze, co czynią, — a dają się chwycić
wtedy dopiero, gdy Boga zabraknie im w sercach,
i gdy nie warte już są nawet trudu, by je chwycić.
Ja wiem dobrze, co mówię i co czynię. Czyżbym
przyszła inaczej sama tutaj z wami?
Chciałam, byście poznali mię. Tak, don Miguelu!
Bowiem ja znam was. Trzy już upłynęły miesiące
od dnia naszego spotkania (w kościele Miłosierdzia, don Miguelu)
i z pewnością nie byliście wówczas — jako dziś.

Don Miguel:

Prawdę rzekłaś, Girolamo! Nie jestem, czem byłem:
widzę lepiej, — choć wówczas też nie byłem ślepy.

Ale zapewne brakowało mi światła, —

bo światło zzewnątrz jest rzeczą wielce drobną,
a wyście dopiero zapalili lampę w mem sercu.
Oto jestem, jak chory, który zasnął w mroku
z głównią gorączki i lodem opuszczenia w sercu,
a potem budzi się nagle wśród pięknej komnaty,
skapany, jak w muzyce, w złotym świetle słońca...
I oto druh, po którym płakał był oddawna,
druh, wrócony zza mórz dalekich jest znów przy nim
i uśmiecha się doń oczyma jaśniej i głębiej, niż niegdyś...
I cała rodzina jest przy nim: starzy o srebrnych głowach
i dzieci, odziane w całą jasność zbóż, — i nawet stary pies
z radością w ślepiach i wielką paszczą, otwartą
radosnem powstaniem pana, ocalonego z powodzi mroków.
W taki zakąt spokoju zamieniłaś me serce, Girolamo!
I dzięki wam za to, Girolamo! o dzięki,
siostro słodka, — bo czyż nie nazwaliście się sami mą siostrą?

Girolamo:

Jesteście człkiem ocalonym z powodzi mroków
i jesteście słabi jeszcze, zdumieni i bladzi, —
więc trzeba, aby siostra wasza myślała o was,
i kierowała wasz krok i modliła się o was do Boga.
Bo czyliż nie jesteście rozbitkiem z gorzkich wód?
i przetoż, — ja najpewniej jestem siostrą waszą.

Don Miguel:

Lecz jeśli istotnie jesteś mi siostrą, słodka Girolamo,
jeśli istotnie jesteś mą słodką, wierną siostrą, —
Nie! ja nie mogę rzec! mój głos już nie jest mym głosem,
me serce mojem sercem, ani życie życiem.
Girolamo! O Girolamo! o, daj mi twą rękę!
Twą słabą, drogą rękę drużki, siostry i świętej małżonki.

Girolamo:

Dziecku-ż mówicie to, czyli niewieście?
Baczie! — niebo was słucha, don Miguelu!

Don Miguel:

Mówię niewieście pod jasnym niebem mej radości,
pod niebem, zawieszonem, jako wonny namiot,

ponad naszymi głowy.

Do was mówię to, Girolamo.

Wielka, taka wielka, że aż mię wasza wielkość przeraża!

Cóżem uczynił z życiem, cóżem uczynił z mem sercem!

czemużem wprzód nie przejrzał, że mam duszę dobrą?

zaliż mi przebaczyć?

Girolama:

Już wam przebaczyć muszę.

Czemu klęczycie?

Don Miguel:

A waszą rękę? —

Girolama:

Już-ci ją oddać wam muszę.

Don Miguel:

A serce, serce twe, czyste ogromnie,

Wasze serce?

Girolama:

Me serce nie należy już do mnie...

Don Miguel:

A świętość twoja, — dziewicza słoneczność, —

zaż mi ją powierzycie —

na czasu bieg, — na życie — ?

Girolama:

Na wieczność.

Don Miguel:

A miłujecie mnie? a miłujecie mnie, o droga,

miłością, która świętość budzi

wobec ludzi — wobec wszystkich ludzi? —

Girolama:

Wobec — Boga. —

III.

(Trzy miesiące później. Komnata w zamku don Miguela Manary w Sewilli. Girolama Carillo spoczywa na wąskim białym łożu bez kwiatów. Cztery gromnice płoną nieruchomie. Don Miguel skurczony w ciemnym kącie sali. Duchy ziemne.

Pierwszy duch:

Powieki są dobrze zamknięte i szczęki są dobrze ściśnięte;

ramiona skrzyżowane na piersiach i dłonie złożone

na małym drewnianym krzyżyku twardym, niby z kości;

głowa spoczywa na poduszce w sam raz, — nie za wysoko ani za
nisko

szata nie czyni fałdów, nogi stykają się lekko, —

jestem rad z mego dzieła.

Drugi duch:

Przyniesiono trumnę — widziałem,

jest z masywnego srebra, ale dwoje ludzi

podźwignie ją bez trudu,

bo to prawie, że trumna dziecka.

Trzeci duch:

Otwarto stare lochy Vicentelów de Leca:

Ład w nich wzorowy: parę cegieł dodać,

parę uderzeń kilofa — i dość!

Pierwszy duch:

Jutro z południa trza będzie, bracia moi,

pójść do domu starego Carillo Mendoza:

Starzec, gdy dostał wieść o śmierci swej jedynaczki,

padł w ramiona przyjazne don Fernanda — bez łzy,

bez krzyku, — i dotąd nie otworzył ust...

a to już trzeci dzień.

Don Miguel:

Dobrzy ludzie! Nie czyńcie tego gwaru słów

W ciszy róbcie to, co robić trzeba.

Nie wymawiam wam, dobrzy ludzie waszej pracy,

ale nie mówcie z sobą o mej drogiej zmarłej.

Wiem, że ona umarła, — lecz nie chcę aby o niej mówiono, jak
o zmarłej.

Pierwszy duch:

On bierze nas za ludzi, takich jak on sam,
zlepionych z gliny i łez,
i jego wielka miłość czyta w zamkniętej księdze naszych myśli.

Drugi duch:

Jego żałobne myśli są jako głosy nieznanых
w zimnym i ciemnym domu.

Trzeci duch:

Nie trzeba się nad nim litować. Człowiek należy do ziemi.
Ma wielbić Ducha ziemi.

(do Miguela)

Człowieku z gliny! Łzy zamąciły twój mózg.
Słowa płyną z twych warg, jako woda.
Zbudź się i patrz! Jesteś sam.

Don Miguel:

Jeśli to już szaleństwo przemawia, jeśli to już istotnie szaleństwo,
tedy dzięki Ci składam, Panie mój i Boże!
Niechaj szaleństwo złoży na swych kolanach me skronie
i niech mi nuci z cicha: moje dziecię, moje biedne dziecię!
Nie chcę być kołysanym w ramionach dziewczęcych; ramiona dziewczę-
cząt są zimne, jak śmierć.
Tylko nie mówcie jej, druhowie, że ja płaczę. Lepiej niechaj nie wie,
że ja płaczę, —
toby jej biedne serce rozdarło.

Trzeci duch:

Wstań! mów-że, czyn i płacz, jako człowiek.
Wszakże jesteś człowiekiem, Manaro, — jesteś synem boleści.
Wstań, twe żałobne szaty są gotowe.
Trza będzie iść z godnością ku grobowi
i zważać na kałuże dróg, — bo oto jesień.
Trzy miesiące już przeszły od letniego dnia twych zaślubin.
Nie należy zapomnieć rachunku dni i miesięcy,
synu ziemi.

Don Miguel:

Będę za trumną szedł, jak dziecko, wiedzione do kościoła,
i uczynię, cokolwiek każą mi uczynić.

Jestem nieszczęsnym biedakiem.

Nie chcę dokoła siebie budzić gniewów żadnych,
ani się pójde wieszać na wierzbie nadrzecznej,
ani uczynię, co bądź jest przeciwnem Bogu.
Bóg mię stworzył, więc trzeba, abym żył.

Trzeci duch:

Myśl o ziemi, synu Boleści,
reszta bowiem jest niczem.
Masz serce dla nadziei, a ręce dla pracy.
Trza będzie żyć! Trza będzie długo żyć i rzec, jak ludzie,
że to ci jest radością,
a gdy opadną ramiona, a gdy stare kości zabolą,
a gdy głowa zbieleje, jako chore drzewo,
tedy pewnego dnia wstaniesz wcześniej niżli zazwyczaj,
i zapalisz w przedświcie twą lampkę
i przyłożysz ostatni raz rękę do dzieła...

Pierwszy duch:

Lecz upadniesz u progu, jako gałąź sucha;
i otworzą ci tedy wielkie zimne łóża...

Drugi duch:

I przyniosą ci tedy trumnę...

Trzeci duch:

I otworzą podziemia Vicentelów de Leca...

Wszystkie trzy duchy:

Lecz do tego poranku trza żyć, o synu ziemi.

(Duchy oddalają się zwolna. Cisza. Dzwoni godzina.)

Don Miguel:

Boleści! o Boleści! czemuś dała mi dzień!
czemu nie starłaś mi głowy
głazem niewinnym, nad cichym brzegiem rzeki,
łaskawszym, niżli piersi twej miłości?!
Mówisz mi, o Boleści, że mi jesteś matką:
lecz, jeśli jesteś matką mą, to musisz wiedzieć,
jakie piekło zawodzi tu, o matko,
jakie piekło zawodzi tu, w mem sercu!

azaliż poto kołysałaś mnie
w wieczory długie i dnie, gdy w kominie
sierocy szlochał czas?
Mów, żali poto kołysałaś mnie,
łzę i sen mając w smętnej głębi ocz
barwy tułactwa i wichru?
Złożyłaś mię w kolebce — przecz nie w trumnie?
całowałaś moje drobne ciało...
czemużeś, jako dziki leśny zwierz,
nie zdusiła płodu, Matko moja?
Przeklęta twoja czułość, o ty, któraś mnie
zrodziła wśród boleści!
przeklęte twoje łono!
przeklęta twoja pierś!
O Ty, która mi dałaś to ciało smętne i to serce samotne.
A przecie ty nie byłaś, jak wilczyca,
co rodzi w świetle miesiąca zgłodniała,
smutna jako oblicze dżumy.
Trzebaż ci było zostawić pieszczotę
samicom leśnym, których sierść drży głodem...
Żali nie jesteś córą ludzką, Boleści? —
Matko! o matko moja, utraciłem wszystko!
życie moje jest wdowie; rozpusta płacze we mnie;
Jestem ojcem przerażeń, szaleństwa i śmierci.
O, Boleści! O, matko! O, cóż uczyniła ze mną!

(Cisza).

Duch nieba:
Manara! Manara!
Synu umiłowany!

Don Miguel:
To niby widmo blasków słonecznych na wodzie...
to niby wiew w sadzie kwitnących jabłoni...

Duch nieba:
Manaro! Manaro!
Rozraduj się!

Don Miguel:
Nie rozumiem ciebie, —
Mów jaśniej!

Duch nieba:
Nateż słuch.

(Krótka cisza — pod oknami przeciąga procesja.)

Śpiew:
Znój śmierci z czoła na oczy mu spływa,
stapa pod krzyżem, nie widzący dnia.
O, cóż jest na tej ziemi godnego widzenia,
rzeknij nam, Synu Człowieka!
Woda w tej ziemi jest jak oko ślepcy,
Kamień z tej ziemi jest jak serce króla,
drzewo tej ziemi jest szkieletem męki
Tobie, Miłości, dziesięciu niebiosów.
Przełamał chleb i rozlał wino:
oto ciało — oto krew.
Kto ma uszy ku słuchaniu
niechaj słucha!
pomodlił się i wstał.
Ukochani przez Niego spali pod oliwy.
„Szymonie — żali śpisz?“
krzyknął — i wstał.
Dzieci jego spały pod oliwy.
„Spijcież mi odtąd“, rzekł im Syn człowieka.
Przyszli z latarniami, z włóczyniami...
„Mistrzu, — pokłon ci niesiem!“
Człowiek człowieka pocałował w twarz,
obcięte było ucho prawe
i przywrócone, aby człowiek słuchał.
Po dwakroć zapiał kur:
— niema miłości, — wszystko zapomniane!
Kur zapiał w wielkiej samotni
Twego serca, o Synu człowieka.
Korona legła na czoło,
berło trzciniowe w dłoń,
twarz oślepla od ślin i od krwi, —

— „Pokłon — żydowski królu!”

Szata się podzielono;

Skonali dwaj łotrowie.

„Pragnę!” krzyczy serce żywota.

ale gąbka opada,

i bok jest przedziurawion, —

i wszystko się dokonało.

Teraz wiemy, iż jest Synem Boga Żywego i że zostanie z nami aż
do końca świata. — Amen.

Don Miguel:

Amen.

IV.

(Refektarz klasztoru Miłosierdzia w Sewilli).

Don Miguel:

Ojcze, przychodzę prosić przytułku i obrony.

Przeor:

A przed kim że to, mój synu?

Don Miguel:

Przed sobą samym.

Przeor:

Kto jesteś?

Don Miguel:

Manara.

Przeor: (cofając się o krok)

Niemasz tu dla cię miejsca. Odzianyś wonią stosów płonących.

Don Miguel:

To miłość Wiekuistego pożera mię, mój ojcze!

(pada na kolana).

Przeor:

A czego szukasz tu, synu?

Don Miguel:

Kary zazdrosnego Bóstwa, pokory serca, miłości rzeczy istotnych.

Przeor:

Mówisz do biednego grzesznika. Wstań!

Znam wszystkie zbrodnie twe, don Miguelu de Leca,

ale trzeba, by mrok zeznania spłynął przez usta jak wstręt.

Skrucha serca jest niczem, jeśli się nie wzniesie do ust

i goryczą nie zaleje wargi. Więc, jeżeli jesteś istotnie

przyjacielem Boga, — to mów! A trzeba, by prawda była naga,

bez zasłony wstydu i bólu. Rzeknij: uczyniłem to, tamto.

Mów!

Don Miguel:

Nie pracowałem dni sześciu, nie dopełniłem dzieła żadnego,

zaś siódmego dnia bluźniłem, plwając na ludzi i Boga.

Nie czciłem ojca mego, ani matki mojej:

Mój ojciec przeklął mię, a matka z boleści umarła.

Kłamałem. Rzekłem stokroć „miłuję”, gdy w sercu miałem zły śmiech;

ale kłamca może odwołać to, co rzekł,

a ja, — jakoż odwołam, com uczynił?

Kradłem. Kradłem niewinność. Ale skruszony złoczyńca powraca,

a ja, ja zwrócić krzywdy mej nie mogę.

Zabijałem. I ofiary moje są czarne grzechem moim wobec Boga,

a ich rozpusta mię kala.

Pożądałem domu bliźniego mego. Nawet

podłożyłem ogień pod dom bliźniego mego.

a to był dom, którego nie odbudować murarzom!

Uczyniłem to wszystko,

uczyniłem to wszystko mój ojcze.

(cisza).

A wówczas, na zawrocie złej drogi mojej zjawiła się kobieta.

Była cicha, jako sen wody i piękna, jako miód w plastrze jaśniejący,

niewinna, jako uśmiech maluczkich.

I poczęła mi mówić o Bogu i nauczyła modlitwy.

Wieczorem powtarzałem za nią pacierz, jak dziecko.

Girolama imię tej kobiety, mój ojcze.

Girolama Carillo de Mendoza imię żony mojej, mój ojcze.

Przeor:

Miłość kobiety tej, tej Girolamy, była dobra.

Czemuż cię widzę tutaj we łzach, don Miguelu Manaro?

Don Miguel:

Ta kobieta. Ta bardzo słodka, bardzo moja, —

ta kobieta, ta Girolama, mój ojcze, — umarła —.

Przeor:

Płacz, jeśli trzeba, mój synu; ale płacz, proszę, w ciszy.

(Modli się chwilę, potem podnosi głowę.)

Don Miguel:

Nie powiedziałem jeszcze wszystkiego, mój ojciec...

Przeor:

Nie trzeba nam już mówić o tych biednych rzeczach,

moje ty wielkie dziecko! — żali słyszysz?

To historie, które trza pozostawić tym,

którymi rządzi wielka duma małych grzechów.

Ale ty, don Miguelu, mój wielki grzeszniku, mój ukochany Synu,

co możesz jeszcze mieć mi do wyznania?

Któżby nie znał Manary?

Oddawna już mam oko na ciebie. My stąd dobrze wszystko widzimy,

mimo oczu w brewiarzach. Posłuchaj-że mnie:

pozwoleń ci płakać na mem łonie

i płakałeś i krzyczałeś, jak niemowlę.

Ale teraz podnoszę palec i widzisz, jako jestem w gniewie?

i słyszysz, jako nawołuję — cicho!

Co ty wiesz o boleści, mój synu?

Co ty wiesz o swej boleści, mój synu?

Przyszedłeś tutaj, aby być skarconym,

a teraz wymawiasz Pokucie jej głos słodki?

Wszyscy oni jednacy. Straszne są zaprawdę te dzieci!

ponieważ Bóg jest dobry, chcieliby się Nim zapchać do przesytu.

Wyszedłeś z domu, niby po kupno owocu,

przyszedłeś, — jesteś tutaj, —

więc wszystko dobrze.

Don Miguel:

Boję się wielkiego waszego współczucia, mój ojciec:

czuje się tak utulon, otoczony dobrocią...

nie należy być tak dobrym, mój ojciec,

bowiem rozpływam się w drogiej dobroci waszej.

Wstyd mi. Nigdy nie mówiono tak do mnie.

Przeor:

Ależ tak... ależ tak...

Kochano ciebie wiele i wiesz to dobrze sam,

że często mówiono do cię ze słodyczą.

Byłabyś niewdzięcznikiem?

Nie. Mówisz to, bo jesteś odziany próżnością,

bowiem masz włosy utrefione pięknie,

i piękne szaty (dzięki Bogu, że nie jestem dziewczyną)

i białe ręce o wypieszczonych palcach...

a jużbyś chciał, jestem pewien, mieć na sobie łańchmany,

powiewać długą brodą, szorstką od brudu i ciężką od deszczu,

i dźwięczeć wytartymi groszami jałmużny w sakwie swej żebraczej.

Cicho! cicho! Nie płaczże moje dziecko!

Cóż? nie chcesz uśmiechnąć się, mój mnichu żebraku?

Nie mogę wywołać uśmiechu na twych ustach!

Czyliż ty nie rozumiesz, mój synu, —

wszak myślisz wciąż o rzeczach, których niema wcale,

(i których nigdy nie było, moje dziecko).

Czyliż mam ci powtórzyć, że przyszedłeś tu, że jesteś,

więc wszystko dobrze.

Cóż on sobie wyobraża, Boże drogi!

Don Miguel:

Jakoż czynicie, ojciec, że tak w mem sercu czytacie?

Nie zwoleń mi nawet otworzyć serca przed tobą!

Jakoż czynicie, by czytać tak w mem sercu,

zamkniętej księdze?

Przeor:

Powstań! Żałośnie mi tutaj wyglądasz.

I nie całuj mych kolan. Czyż nie umiesz siedzieć spokojnie?

Każę ci przygotować celę. Słyszysz?

Chcę, byś był blisko mnie. Będziesz miał noce ciężkie, samotne i długie

(czekaj-że, człecz, odziany próżnością!)

zobaczysz tedy, jak to się modli nocą samotnie

wśród czterech murów wieczności.

Ach, to nie wasze fontanny łez w księżycu

te modlitwy wśród czterech ścian, od których głuszy się głuchnie.

Te litanje bez myśli już i bez dociekań,

długie, jak cień uciekającej miłości.

Chcę, byś był blisko mnie. Ale nigdy

nie będziesz mię przyzywał — słyszysz, synu?

powiesz tylko sam sobie: ojciec jest tam za tą ścianą,
co nigdy nie ma snów. Ojciec jest tam.
Jest stary i śpi w swych trzech deskach, a ja tu sam jestem,
sam z mem sercem kamiennem, szepcący pacierze
w ucho kamieni. Bowiem wy, ludzie, mówicie,
że mury mają uszy dla waszych bluźnierstw i zdrad,
lecz tu, gdzie życie me jest uśmiechem z pod szminek,
lub łzą kobiecą, upadłą na szyby,
tu kamienie są pełne cierpliwości, co czeka, i oczekiwania, co słucha...

Don Miguel:

Celo ciemna! Obrazie mego serca!
Radosne umartwienie!
Ciszo katakumb! Jakże cię już miłuję!

Przeor:

Miłość i pośpiech źle idą w parze, Manaro,
bowiem się cierpliwością mierzy miłość.
Krok równy jest najpewniejszy, — to postawa miłości, —
czyli idzie żywopłotem jaśminów z dziewczyną pod ramię,
czyli samotna między dwie aleje grobowców...
Cicho!
Nie przyszedłeś tu na podstępny, mój panie!
Tutaj — życie jest długie.
Trzeba nam tu dzieciństwa, i młodości, i nauki, i kształcenia ich,
i dojrzałości, znającej sprawiedliwą wagę każdej rzeczy,
i powolnej starości, rozmiłowanej w mogile.
Z jakąż więc przezornością poruszać się trzeba:
bowiem płonące ciało buntuje się przeciw stygnącej krwi,
a trza leżeć spokojnie w wąskiej i krótkiej trumnie,
kiedy się w niej przylegnie ze zdrową ochotą
przespania godziny, czy dwóch snem pustym i głębokim, jak chwila.
Toczyć krew własną, to rzecz łagodnie zdradliwa,
a bezsenność pożera serce.
Otóż, — życie jest długie tutaj, — słyszysz?
Głód zbyt okrutny jest także pokusą:
trzeba gryźć chwasty i korzonki szczęką zwierzęcą,
które ma wielką łakę i długie dnie lata przed sobą.
I trzeba przemawiać do wieczności jasno i poprostu,

nawet nocą, gdy miłość jej chwyta za gardło, jak zbójca.
Wiedz również, że jest dobrze powtarzać przekazane słowo, —
koryto skalne dla gorzkich wód twej miłości, —
bowiem trza, by modły były postem, zanim się staną ucztą,
i nagością serdeczną, zanim będą płaszczem niebieskim gwiazdami
światów gwarnym.

Nadejdzie może dzień, kiedy ci Bóg pozwoli
wejść gwałtownie, jako siekiera w miąższ drzewny,
i paść szalenie, jak kamień w mrok wód,
i wśliznąć się śpiwnie, jak ogień w pierś metalu.
Tego dnia poznasz, z jakiej gliny ten świat jest uczynion,
i będziesz swobodnie mówił z duszą świata,
i drzewa, i wody, i metalu.
I będziesz mówił do niej głosem wiatru, i dżdżu, i rozmiłowanej nie-
wiasty.

O, mój synu! Człowiek niejednokrotnie
mawiał nie twarzą w prochu, lecz stojąc przed Bogiem —
i dysząc Mu w oblicze wprost swoją miłością,
jako pożar olbrzymich borów albo miasta!
I Bóg się śmiał, — bowiem bały się Jego anioły...
To wszystko może kiedyś przyjść, mój synu, gdy wąż starą skórę
odmieni, —
ale trzeba zaczynać od początku, — w tem ci to jest wszystko.
Gryźć kamienie, skowycząc: panie! panie! panie!
To, jak współżyć z kobietą, która nie ma serca. —
Trza to zostawić zdradzonym, co płaczą jedną noc, czy miesiąc,
czyli dziesięć lat

tutaj — żywot jest długi.
Będziesz się tedy strzegł tworzenia nowych modlitw.
Będziesz śpiewał pokornie z psalterza maluczkich,
i będziesz czekał.
Z ostatniej nocnej skry, z twego szaleństwa pierwsza zorza wstanie!
Krater serca wyje i grzmi, i czarny pomiot lawy
rozdziera chmury i spada szarym głodem na pola i winnice:
taką jest niszcząca modlitwa namiętności.
Ale gdy serce zaśnie w balsamie długich lat,
gdy ciało zamrze, krew zbieleje, a szpik zaschnie w kościach,
gdy przeszła miłość, gdy przeszły ból,

miłość, i ból, i nienawiść
staną się widziadłami, w których szpada się topi, jak w wodzie,
a wargę chwyta jeno własne odbicie, jak w szkle,
tedy dopiero mówi się do Boga nie o sobie samym
i nie o własnym nędznym nieszczęściu, — ale o człowieku,
i o pianie mórz, i o piasku,
i o wietrze, i o dżdżu! Wiesz, jaki święty rzekł
„oto wicher mój brat i moja siostra mgła“.
O, moje dziecię! gdybyś wiedział, co człowiek może rzec Bogu,
gdy ciało jego krzyczy od zachwyty — Bóg, który wielbi siebie — —
— Nie masz twarzy człowieka, co słucha, don Miguela,
zbyt myślisz o twej boleści.
Czemu szukasz boleści?
Czemu boisz się stracić tę, którąś odnalazł? —
Pokuta nie jest bólem. Ona jest miłością.

Don Miguel:

Słucham was, ojczy. O daleko odemnie
jest chęć utopienia mej nędzy w szaleństwie bólu.
Niech ręka Boga mierzy gorzką miarę dnia i nocy,
nie moja ręka! Niech niebo niewinne nie powie —:
oto Manara niesie mi barwiony ból,
jak nierządnica płacząca.
Nie, ojczy!
Znajdziesz we mnie łagodne zwierzę do obracania żarn,
wołu, co da smarować swe boki pokłute,
lekiem litości i zasypia cicho,
by zorza odnalazła go rzeźkim do pracy
i radosnym, jako pieśń kurów porannych,
i pełnym mocy, pragnącej zadośćuczynienia.

Przeor:

O, łasko Boża!
Już gawędzi mój Manara, jakoby mnich,
co żebrze dla swych biednych w żywym barwnym tłumie
pod jasnym słońcem niedzieli,
gdy miasto pachnie całe nabożeństwem i jadłem niedzielnym.
Hola, mój piękny panie!
oszczędzaj zapal i wymowę, proszę,

na dzień jesienny i wieczór zimowy,
gdy trzeba będzie boso, w woni minionych lat
dźwiękać groszem skarbonki pod oknem bigota,
i przed wrotami starego kupca, i w przedsieniu
nierządnicy, tak hojnej, że aż chce się płakać.
Nie, piękny, piękny panie! Jeszcześmy tam nie doszli!
Patrzę i widzę (niech mi Bóg przebaczy)
nie oślicę o grzbiecie wgiętym, zszerszemałym,
co nosi codzienny chleb,
nie oślicę, co przychodzi jeść z ręki brata furtjana,
ale raczej rycerskiego rumaka, karmionego owsem,
skapanego w piaskach Maurytanii
i zdzieranego pogańską ostrogą.
Co za ogień! Co za niecierpliwość straszliwa!
Spokoju! spokoju! drogie dziecię, —
a z trochę dobrej woli wszystko pójdzie dobrze...
Idę wydać potrzebne rozkazy.

Don Miguel:

Oto księżyc, a oto ziemia, a oto
człowiek słaby i jego wielki ból
a jednak, mimo, że to wszystko jest,
nie umiem rzec, że Ty jesteś.
Kimże bom ja jest, bym śmiał rzec, że Ty jesteś?
Nie jestem pewny, anim nie jest w prawie
być pewnym, — prócz tej jedynej pewności —
miłości mej, miłości mej,
ślepej miłości mej ku Tobie.
Nic nie jest czystem, prócz mej miłości ku Tobie!
Nic nie jest wielkiem, prócz mej miłości ku Tobie,
Nic nie jest pięknem, prócz mej miłości ku Tobie.
Złuda się rozwiała,
namiętność umarła,
pamięć się zatarła, —
miłość ostała.
Nic nie jest szczerem, prócz mej miłości ku Tobie.
Nic nie jest prawdą, prócz mej miłości ku Tobie.
Nic nie jest nieśmiertelnem, prócz mej miłości w Tobie.

Bowiem jestem li zmarłym wśród ukochanych mych zmarłych,
i próżnem słowem, prochem w uścich żywych. —

Miłość ostała.

O, piękno!

O, smutne, biedne piękno!

Ale chcę chwalić piękno,

z niego bowiem rodzi się — boleść,

Oblubienica — Oblubienica.

Twa wielka miłość pali serce moje,

Twa wielka miłość, jedyna pewność moja.

O, łzy! o głodzie wieczności! o radości!

Gorze! — daruj mi!

Gorze! — miłuj mnie!

V.

(Przed kościołem Miłosierdzia w Sewilli. Radosny tłum niedzielny. Dwóch mnichów zakonu Miłosierdzia na przodzie sceny)

Pierwszy zakonnik:

I jakoż wam się wydaje, mój bracie?

Co do mnie jestem, jak liść, cały drżący.

Że też język tak prosty tak człeka niebem i słońcem napienia, —
to istotnie rzecz, która przechodzi pojęcie!

Cieężko mi było, zwłaszcza w końcu mowy
powstrzymać łzy, a ostry, zduszony kaszel

dławił mię w gardle, właśnie jak gorzka pokrzywa.

O, święty Boży człowiek ten brat Miguel! O, wielki zaprawdę!

Chcę poczekać na wielbnego przeora, by spytać,

jaki skutek mowa taka piękna mieć może w sercu Boga?

Nie jestem myślicielem. Żle czytam w księgach. —

Rydel i grabie to zwykłe me towarzysze, i niechaj słowo choć twarde,
choć odrobinę ucześnie przyjdzie podrażnić me ucho, — wraz niemiej,
jak druh mój, robak ziemny.

A jednak dzisiaj zrozumiałem wszystko. Łagodne słowo pokutnika
padło mi w serce, jak przygarść rzadkiego ziarna.

A wiecie, iżem musiał na początku nauki zagryzać wargi, by się nie
roześmiać:

Żali tak chwali się pana? — myślałem, —

oto język mulników i starych bab wiejskich!
i żaliżemy dzieci, by mówić trza nam te rzeczy?

a potem nagle uczułem, iż ta mowa

wychodziła jak gdyby już nie z ust ludzkich, ale niby z warg rany
głębokiej,

i kiedy mówić jął o panu, kroczącym po falach,

tedy głos jego stał się słodki mym uszom, jako głos wód wielkich,
ukojonych i prześwieconych nagle czułem Bożem światłem.

Drugi zakonnik:

I ja śledziłem, jako wy, mój bracie, we wszystkich punktach
osobliwą naukę dzisiejszą. Zachwyciłem się jej ruchem i barwą...

Ale zaprawdę, wyszłem nad pergaminami

a stara głowa moja — to głowa stróża ksiąg.

Niestety! czemuż jest człowiek?

prostomowność zapewne może być urokiem,

ale jej zbytek często zatracą herezją,

a puszczenie wodzów uniesieniu, jakkolwiek miłemby się nam zdawało,
nie dorówna nigdy, mojem zdaniem, dobrze przemyślanej regule.

Pierwszy zakonnik:

Nie wypada mi wcale przeczyć wam, mój bracie!

Najmocniejsi kaznodzieje mniej tu są od was świadomi. —

Przyznajcie jednak, że niekiedy i słowo buduje,

kiedy wychodząc z serca znajduje drogę do serca.

Weźcie też pod uwagę życie Manary: jego potworną przeszłość,

jego skrucę płomienną, która go gna brudnego od świtu,

z brodą na wiatr, głodem i pragnieniem w uścich,

z skarbonką w rękę; tę straszliwą pokorę,

która mu stokroć na dzień, jak kamień, potracą kolana,

rzucając we łzach, do stóp drwiącego żebraka,

albo na drogę nierządnic; tę śmieszna czułość

dla maluczkich,

której zawdzięcza zachwyconych matek

pieszczotę wdzięczną, — jak się pieści oślicę lub krowę...

(a ja sam często chwytam się na tem, że doń

mówię zbyt czule, jak kiedy znajduję

śmiertelnem uderzeniem rydla — kretowisko

jakowegoś biednego stworzenia w ogrodzie).

Uważajcie też proszę tę jego gorzką wdzięczność,
która ze wszystkich bólów i grzechów tej ziemi
czyni mu hostję słodką wargom i klęcznik modłom pomyślny.
Zaliż go nie ujrzałem kiedyś, leżącego
krzyżem, mówiącego w głos do głuchej ziemi,
jako do matki swojej? I czyż także
nie widziałem go (było to zeszłej niedzieli)
jak podniósł kamień, rzucony nań przez pijaka, i długo całował..
Lecz oto on — wychodzi z kościoła otoczony
gromadą obdartusów. Patrz, jako rozprawia,
zadyszan jeszcze i cały w rumieńcach.
Nie widziałem go nigdy tak dziecinnie radosnym.

Drugi zakonnik:
Cóż to?

(Sparaliżowany żebrak Johannes Melendez, pokręcony cały, wlecze się żałośnie z kościoła.
Śmiechy i krzyki na placu).

Pierwszy głos:

Oto stary kulawiec, wycieracz kościołów
Johannes Melendez, — stary złodziej,
którego dosięgnął gniew Boski.
Chodźcie! chodźcie tu wszyscy!
Wolno się krzynekę pośmiać po długich litanjach.

Głos dziecka:

Trzeba rzucić mu w zęby kamieniem!
Mój pies ugryzł go wczoraj, a on mnie zawołał
łagodnie, z pewnością, by mię zbić.

(Kamień uderza Johannaesa prosto w pierś. Żebrak upada z krzykiem).

Don Miguel:

Boże! w chorego, biedaka, starca, kalekę?!
A oto widzę twarze ludzi, twarze chrześcijan, roześmiane
weselem, jakby sztukmistrz rozesłał kobierczyk.

Głos kobiety:

To Johannes Melendez, stary kruk i złodziej kulawy!
Dziecko w niego rzuciło, widzicie, kamieniem...
To nic! to tylko Johannes, ścierwo ludzkie urwane z szubienicy:
puścili go świeżo po czternastu latach galernika.

Lepiejby go zabić, jak psa, — bo czymże i jest lepszym?
Gdy mu się rzuci kość, tedy się modli — na śmiech,
a potem wraca o zmroku, by kraść strawę psom porządnym ludzi.

Don Miguel:

Johannesie! Johannesie! zali mię słysysz?

Johannes:

Jesteście świętym zakonnikiem Manarą,
poznaję wasz głos.
To dobry głos.

Don Miguel:

Johannesie, poleć się Bogu, bowiem masz oblicze
człeka, który ma umrzeć.

Johannes:

O, biada! mi! Godzina nie wybiła.
Nie niepokójcie się, dobry mój mnichu!
Biada mi! Mimo starości, bezsiły i bólu,
Bóg mi odmawia snu. Będę musiał żyć jeszcze
długie, długie dni, — długie, długie noce. Trza mi będzie
pełzać, jak ziemny czerw, skrzypieć, jak koło bez mazi,
kłócić się o kość nędzną z opuszczonym psem...
Chwila nie przyszła jeszcze.
Pokuta długą jest mój dobry mnichu!

Don Miguel:

Pokuta długą jest wielce, Johannesie,
ale pokuta, Johannesie, jest słodką, —
a ty nie mówisz, jak mówi wróg Boga.

Johannes:

Ja byłem długo, długo wrogiem Boga,
jako mój ojciec zbój i matka ma nierządnica.
Biedna matka! nie miała snadź odwagi
zadławić mię i wykarmiła swem mlekiem
złodziejki, — na swem łożu rozpustnicy.
Miałem lat osiem, gdy jeden ksiądz świętokradczy,
tknięty litością, mówić mi począł o Bogu,
o Ojcu, Synu, Duchu.
A gdy obaczył, że płaczę, — sam zapłakał gorzko.

To on nauczył mnie modłów. Modliłem się często za niego,
świętokradczego księdza — i za mą matkę nędzarkę.
A kiedy nadszedł dla mnie słodki dzień miłości, —
pokochałem
młodą cyganek, dziką jak i ja.
Pokochała mnie, a plemię jej wyгнаło ją jak sukę,
za tę miłość dla chrześcijańskiego bękarta.
Dnie były ciężkie! dnie były złe, dobry mnichu,
więc kradłem, by wyżywić jej słodkie usta kobiece.
I żywot galernika przejadł mi kości do szpiku.
A gdy nogi zwiotszały, jak łachman przemokły,
rzucono mnie na brzeg z parą tych kul — i przypelzłem
umrzeć tu, — gdzie Bóg dał mi się niegdyś narodzić.

Don Miguel:

Panie! panie! Wzywam Ciebie z Kapharnaum.
Panie! panie! podnoszę głos z krainy Genezareth.
Panie! panie! O Tobie myślę na kresach Sydonu i Tyru.
Panie! panie! Dobiega Cię mój głos z Derapolis.
Panie! panie! Krzyczę ku Tobie z Betsaidy
Panie! panie! zstap mi ku pomocy poza kresy Judei, poza Jordan.
Amen.

(do paralityka)

Cierpiełeś wiele od ludzi, bracie mój Johannesie!
Jakież ty imię dajesz Bogu w myślach twoich?
Zali nazywasz go Boleścią, czy Prawem, czy Zemstą?

Johannes:

Daję Mu imię, które jest Jego imieniem, Manaro,
tem, które krzyczeliście dziś sami tam na kazalnicy,
dobry bracie Manaro!

Don Miguel:

A jakież jest ono?

Johannes:

Miłość.

Don Miguel:

Odrzuć kule twoje!

(Johannes po chwili wahania odrzuca daleko kule).

Don Miguel:

Wstań — i idź.

(Johannes Melendez powstaje i, na nikogo nie patrząc, biegnie ku kościołowi z głośnym krzykiem.

Johannes:

Hosanna! hosanna!

(Przeor klasztoru Miłosierdzia i bracia całują skraj szaty Manary).

Lud krzyczy:

Cud!

(upada na kolana, prosząc o błogosławieństwo pokutnika).

VI.

(Podwórze w klasztorze Miłosierdzia. Cisza ostatnich chwil nocy. Niebo zasiane jeszcze gwiazdami, a jednak czuje się już świt. Małe drzwiczki otwierają się bez szelestu, Miguel Manara jawi się z latarnią w rękę i sakwą na ramieniu. Jest bardzo stary. Włosy ma siwe, ręce mu drżą, opiera się na kij).

Don Miguel:

O, serce moje! O, dziecko!

Nie spałeś, a oto już świt.

Oto świt. Zdziwił się, ujrawszy w niebie księżyc wczorajszy.

Jestem sam we łzach nocy straconej na wieczność,

sam z myślami dawnymi, jak z skoszoną trawą...

O, oblicze we łzach! O, wierności!

(Cisza).

Pomarli. Nieznani śpią teraz wkoło mnie.

Ci, których serce nie kochało, zmarli już oddawna...

Jeden widzi mą starość stary brat ogrodnik,

który zna myśli ziół i sny powietrza.

Wszyscy inni pomarli...

O, księżycu poranny! O, smutne oko wieczności!

(Cisza).

Nie rzekło się wszystkiego. Nie wszystko uczyniło, —
trzeba działać, trzeba się modlić.

Serce, nabrzmiałe troską, jest jako szelest
skrzydeł złamanych o fale. Całą noc, całą długą noc

troska była u boku mego, jak kochająca małżonka,
której się już oddawna nie kocha.

(Cisza).

Obudziłem się wcześniej niż zazwyczaj i złożyłem ręce w świetle lampki,
mam bowiem czynić wiele, a słuszna jest, że moje serce miłuje
słabą latarnię dnia i pacierz ranny
w tej chłodnej próżni,
co nie idzie z księżycą, ani jest tchnieniem poranku...

(Cisza).

O księżycu poranny! Jakoż ty masz oblicze
tych, co widzą rzeczy głębokie i dziwne...
O tej porze głodny zasypia, sycąc tchem własnym;
chory robotnik, kaszląc, zbiera narzędzia;
dziewczyna opuszczona ze strachem poznaje
poddasze swe, lustro, szczotkę, i spogląda
niema na stan swój rosnący, i nagle
myśli o skrzypie studziennym.

(Cisza).

Panie! panie! daj nam naszą codzienną nadzieję!
Ojciec i Synu dajcie nam naszą odwagę codzienną!
Jak trędowaty żebrak wyciąga swą miskę do stawy,
tak ja wyciągam serce ku rozkochanemu życiu.
Daj mi codzienną miarkę mej miłości i odmierz mi ją jak najhojniej
dla innych, —
ażebym odszedł syty do tych, którzy nie kochają Ciebie i bluźnią,
i bym im rzekł:
Oto jego hojność. A nie są to dary Jego serdeczne, ale okruszyny
ze stołu,

a oto co jeszcze zostaje dla niegodnego a sytego sługi...
O, ulico! O, miasto! O, kraju! Ziemi — chodź — spożywaj, —
taki bowiem jest On — Najwyższy, taki jest Pan mój — Miłość.
Jam jest Manara, który kłamie kiedy mówi „kocham“, —
ale iżem rzekł Wiekuistemu „Miłuję“, serce moje radosne jest, a moje
ręce upragnione, jak chleb.
Co rzecze Paweł niewierny, co rzecze Marja nierządnicą? —
Że to, co było skradzionem i zgubionem, było kradzieżą i zgubą.

Jam jest Manara, — a Ten, kogo ukochałem
rzekł do mnie, że te rzeczy nie istniały nigdy.
Jeślim zabijał czy kradł, — że te czyny nie istniały nigdy —
On tylko jeden — jest.

(Cisza. Na horyzoncie świt).

Cisza ma woń jabłoni marzącej. Niebo wdziewa szaty anielskie.
Wiew ziemi jest jako oddech wołu.
Mur przybiera barwę migdałów kwitnących, —
Jutrznia.
Studnia jęczy, niby lękliwy uczeń. Echo się z łoża podnosi
Oto już niosą wodę. Szeleści słoma w oborach.
Kury pieją, kury pieją, — aż stare serce płacze.
Już dzień.
O, ziemio! O, umiłowana!

(Gasi latarnię. Nadśluhuje).

Słyszę dzwon: Raz, dwa, trzy, cztery, pięć!
Już czas na mnicha
I słyszę trąbkę: tra-ra-ra! tra-ra-ra!
Czas na żołnierza.

(Kieruje się ku drzwiom od ulicy. Nagle na progu wstrzymuje go dłoń, spowiniętego
czarnym płaszczem).

Nieznany:
Stój!

Don Miguel:
Nie znam tego człowieka, a drzwi były zamknięte,
Nie mógł przeskoczyć przez mur.

Nieznany:
Wstałeś dziś wcześniej niż zazwyczaj Manaro,
zapaliłeś swą lampkę i modliłeś się,
a teraz chcesz przyłożyć już po raz ostatni
rękę do swego dzieła.

Don Miguel:
Zapewne jeszcze śnię, a jednak głos poznaję,
i przypominam słowa.
Kędyż ja to słyszałem?

Tak dawno — bardzo dawno.

Ale tracimy czas! Dalej! Odwagi, serce! I wy stare stopy moje, —
naprzód!

Nieznany:

Stój!

Zadługo trwała gra, i wszystko już miało swój czas.

Nie poniesiem już tego chleba biednym dzieciom,

ani miseczki nowej ślepemu skrzypkowi Pawłowi Perez — tak.

Wszystko miało już swój czas, Manaro!

Jest czas młodości, jest czas starości, a potem
przychodzi — śmierć.

Tak powiada duch ziemi.

Don Miguel:

Zasłona spada na oczy, stopy zagłębiają się w piasek,
pięść ściska się, lęk chwyta za gardło.

Duch ziemi:

Jam jest duch ziemi. Bacz!

Na ustach masz imię widma. Ja jeden — jestem.

Jestem, zaprawdę, przez umysł i serce człowieka.

Patrz na mnie: oto ma forma prawdziwa, —

otom Pan. Otom książę wszelkich władztw tej ziemi.

Uczcij mnie!

(Uchyła płaszcz).

Don Miguel:

O, straszliwe oblicze!

O, smutne oblicze!...

Duch ziemi:

Jam jest, który jest. Jam jest serce ziemi. Reszta to sztyd.

Jak piękny złodziej ściska w ramionach nierządnicę,

tak ja gorąco ziemię przytulam do łona.

Słuchaj, jak ziemia, szerokołona dziewczka, drwi

z was, łowców widm, wkleśłych sprawiedliwości zwierciadeł.

Słuchaj! słuchaj, co szepce w kosmate ucho kochanka:

„Co oni wiedzą ze mnie, ci, — rzezańcy. Drogo każę im płacić za
rozkosz mej woni.

Ty! tyś jest mym kochankiem. Obelga twe usta okrasza!

twą rękę o włosiu ruchliwym czuję na mej głowie gorącą...

Dam ci dzieci królewskie, które kochać będą
złoto i opar krwi.

Dam im czoła niskie, jak twoje, mój kochanku!

i ręce wielkie i szerokie, liżące usta, mój kochanku!

a twarz ich będzie gorąca a blada, jak piorun.

I od pierwszego dnia szukać będą rozkoszy w cudzym bólu.“

— Tak mówi ziemia do swego pana i kochanka:

„Naszej dziecinie uczynim łożo purpurowe, a jej piersi

będą przyzywać przechodnia, jak dwa źródła, jak dwie fontanny otwarte,

i córka nasza będzie piękna, jako granat, rozpękły upadkiem,

i rzeknie, — że wszak miłość nie może być grzechem.

Twoja pieczęć królewska prześwieci jej oblicze,

całowane płomieniem, co mija i znika.

Język jej będzie wówczas, jak łeb płasającej gadziny,

a cień godzin rozkoszy padnie na jej oblicze

jak na słoneczny zegar, — aż się stanie

jej twarz, — jako jej łono.

a wtedy ty nakryjesz ją twym płaszczem —

i — zapłodnisz.“

Tak mówi ziemia do swego kochanka i pana:

„Synowie odziani będą żelazem, a córki świecić będą od wonności,

i złoto zadzwieczy na stołach, a łona oddadzą się temu, kto da więcej

Ktobądź będzie miał serce ciche, — a popatrz we mnie,

stanie się jako czerw pod odłamek głazu:

popatrz na swą matkę i rzeknie: czuję zdradę!

a gdy zapragnie spać, to nie ośmieli się nawet

zasnąć na piersi małżonki, bo tędy też przeszła zdrada

(a próżno ludzie drwią: zdrada daje sny gorzkie jak jad).

I człowiek przywoła swą córkę, ale usta jej ujrzawszy — spuści głowę.“

Tak mówi ziemia do swego kochanka i pana:

„Człowiek przekaze dziedzictwo swe gruzom i pokrzywom

w miejscu, którego nie zna jego brat płomiennooki...

I kłamstwo będzie na wszystkich ustach, a tajna żądza śmierci we
wszystkich sercach.

Najsilniejszy i najżarłoczniejszy z synów naszych królem ostanie,

a najsłabszy i najpodstępniejszy — kapłanem.

A na górze pokuszeń raz do roku

ty tchniesz na tajny ogień przez usta krateru,
a to, co miało pływać, biegać będzie, jako leśny stwór
a to, co miało pęzać, pofrunie, jak ogień,
a robactwo ze ścian zdradzi nam tajne myśli człowieka.“
Tak mówi ziemia księżęciu wszystkich władztw ziemi.
Manaro, wstań! Wiesz dobrze, że do mnie należysz.
Nie oddałeś mi dani najdroższej, — całej poezji młodości twej Manaro?!

Don Miguel: (wznosząc dłonie w niebo).

Jestem wędrowcem na ziemi. Nie kryj przedemną przykazań Twoich!
(Ps. CXIX. 19.)

Nie oddalaj się odemnie, bowiem zguba jest przy mnie, a nie masz
ktoby mię zratował.
(XII. 11.)

Dusza moja jest przywiązana do prochu, daj mi zmartwychwstać
wedle słowa Twego.
(CXIX. 25.)

Naucz mię rozumu i świadomości, bowiem wierzyłem przykazaniu
Twemu.
(CXIX. 66.)

Wysłuchaj wołania mego, bowiem wielce zwątpiały jestem.
(CXLI. 6.)

Wybaw mię z miejsca uwięzienia mego.
(CXLI. 7.)

(Zjawisko znika).

Duch niebios:
Miguelu! Miguelu!

Don Miguel:
Otom jest.

(Bardzo długa cisza. Jaszczurka przybiega grzać się na kamieniu obok zmarłego. Małe drzwiczki z klasztoru otwierają się zwolna. Wchodzi brat ogrodnik. To pierwszy zakonnik z V. obrazu. Idzie drobnymi krokami, patrząc w ziemię. Doszedłszy do trupa Miguela zatrzymuje się bez najmniejszego zdziwienia).

Brat ogrodnik:
Bracie Miguelu! bracie Miguelu! Śpicie?

(Dotyka go lekko. Cisza. Mówi krótką modlitwę i czyni szeroki znak krzyża na wszystkie strony świata).

A teraz jestem sam.
Jestem sam pośród żywych, jako gałąź sucha,

strasząca szelestem swym w wieczornym wietrze.
Lecz serce mam radosne, jak gniazdo, co wspomina,
i jak ziemia, co czeka pod śniegiem.
A to przeto, iż wiem, że wszystkie rzeczy są
jako muszą być i idą,
jako musiały iść, —
do kresu, znaczonego Mądrością tą, która
(Bogu niech chwała będzie)
nie jest naszą.

(Patrzy długo w spokojną twarz don Miguela).

Oto twój brat, Magdaleno!
Oto twój brat, Tereso!

Na chwałę Chrystusową
amen.



Wydawnictwa „Ostoi”.

WACŁAW BERENT

ŻYWE KAMIEŃ

„Ta książka powinna nazywać się, jak jedno z dzieł, o którym wspomina w powieści tej przeor klasztoru: „De periculis novissimorum temporum”. Berent jest jednym z najwytrwalszych badaczy współczesności polskiej, w trzech swych powieściach ukazał ją w trzech, jakże różnych, przekrojach. Książka o „Żywych Kamieniach” jest czwartym przekrojem i to nie tylko polskiej współczesności. Nie trzeba się wstydzić dzieła tego przed całą myślącą Europą. Bo „in figmentis rerum dalekich” opowiedziane jest tu wiernie, co przeżywa i z czym się łamie dusza całego kulturalnego zachodu. W książce tej są strony, pokrywające się ideowo z filozofią G. K. Chestertona, ponoszące nas myślą ku religijnym i kulturalnym zmaganiom się współczesnej Francji, przywołujące na pamięć przepaściste widzenia Dostojewskiego. To jest książka na miarę Europy”.

PRO ARTE.

W. HORZYCA.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

SZLAKIEM DUSZY POLSKIEJ

„Są tu więc jakby dwie oddzielne książki, złączone w jedną całość, nie przypadkowo, oczywiście, lecz z rozmysłem.

Pierwsza z nich tak dalece góruje nad drugą, tak ją przytłacza wspaniałością obrazu i szerokim rozmachem koncepcji, tak nas rozgrzewa swoim optymizmem i zrodzonym z niego entuzjazmem i tak podnosi i krzepi nas wiarą w niezmiernie bogactwo polskiego dziedzictwa duchowego, że na drugą patrzymy już tylko jako na uzupełnienie, związane zbyt bezpośrednio z chwilą, wpłątane w jej polemiki i rozdźwięki, a przez to ciągnące nas bardziej ku ziemi, gdy tam — szybujemy w obłokach.

Z tego wysokiego lotu patrzy Przybyszewski na duszę polską. Wrażeń tych niepodobna streszczać. Można je było zacytować w ich momentach najważniejszych i tak uczyniliśmy. Analiza dzieła należy do krytyki, która wykracza poza ramy dziennika”.

KURJER WARSZAWSKI.

Z. DĘBICKI.

WYDAWNICTWA „OSTOI“

Spółki Wydawniczej w Poznaniu.

J. Kasprowicz: Gitanjali	mk. 12,—
A. Nowaczyński: Szkice literackie	mk. 9,—
A. Nowaczyński: Pułaski w Ameryce , dramat	mk. 6,50
F. Rawita Gawroński: Książę kozacki	mk. 15,—
Dr. M. Sobeski: Na marginesie Don Kiszota	mk. 6,—
Dr. M. Szykowski: Zarys rozwoju piśmiennictwa pol- skiego	mk. 7,60
T. Tyc: Facecje z dawnej Polski	mk. 3,60
S. Żuk-Skarszewski: Pustka , powieść	mk. 6,50

11125

A